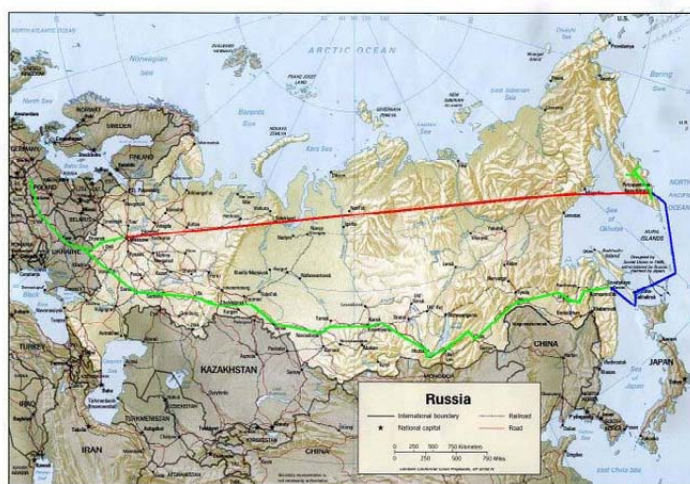


# Kamczatka-Magadan-Breslau Pyrdek's and Great Magic Tour-small Race Big Vodka Drink Africa Twin



## Wstęp zwany początkiem, czyli DLACZEGO

Wszystko zaczęło się, w 2004 kiedy to Rafał zwany Łysołem wraz z Ulą zwaną Ulą, wybrał się na przejażdżkę więcej tu: <http://kamczatka2004.blogspot.com/> i poznał Saszę.

Natomiast w 2005 kolega Wojtek stworzył projekt <http://www.wimdookolaswiata.pl/> w którym miałem pewien udział. Pojechałem do Władywostoku i wróciłem przez Mongolie, bo więcej czasu i pieniędzy nie miałem.

Tak poznałem Rafała, bo okazało się, że obaj przejechaliśmy całą Rosję prawie tą samą drogą, tak, że było, o czym pogadać i kilka skrzynek trunku zniszczyć.

Odwiedziny, a to we Wrocławiu, a to w Warszawie są ot tego czasu bardzo częste, bo my to raczej pogadać lubimy niż coś w internecie pisać 😊

W roku 2006 Sasza nam oznajmił, że nawiedzi za rok nasz kraj, cholera trza się przygotować, remont motura i chałupy zrobić, nową fryzurę zapodać. Łysol w tak zwanym międzyczasie zmienia Super Tenerę na Africę. Po długich rozmowach z Saszą, ten drugi stwierdza, że też musi mieć Africę i sprowadza ją z Japonii. W między czasie my z Rafałem zakupujemy całe dodatkowe wyposażenie i wysyłamy na Kamczatkę. Motor gotowy i Sasza w 2007 rusza do nas. No to z Movistarem knujemy plan, że wyjedziemy mu na przeciw i spotkamy się na Ukrainie na zlocie Goblin Show więcej tu <http://www.goblinshow.com/> .

Ale zanim tam docieramy wpadamy do znajomych do Mołdawii na 6 lecie czaptera klubu Padonki <http://www.padonki.ru/> i tam się odnajdujemy.

Saszę. Kilka zdjęć z wypadu zamieścił Movistar tu <http://picasaweb.google.com/robertxr...RumuniaMoDawia> opis to pewnie ukaże się za cztery lata 😊

Potem to Sasza wraca z nami do Polski (niektórzy mieli go okazję poznać, bo pokręciliśmy się tu i tam) Od pewnego czasu knuliśmy z Movistarem wycieczkę do Magadanu, a że Kamczatka już blisko, to pewnego wieczoru przy Nałęczowiance obiecałem Saszy, że przyjadę do niego. A że słowo rzecz święta cóż było robić i tak w 2008 roku znalazłem się na Kamczatce razem z Robertem vel Movistarem.

Opowieść ta czy też próba opowieści powstaje przez wuja SAMA Sambora, który przymuszał nas ciągle do pisania notatek z podróży i po powrocie kazał wszystko opisać, a nigdy do tej pory nie robiliśmy takich rzeczy, (bo się nam nie chciało) tak, że nie wiemy jak nam to wyjdzie.

Nie wiemy też czy będzie to ciekawe, czy kogoś w ogóle zainteresuje czy tylko zanudzi.

Taka próba. Tu zacytuję notatkę z dnia 40-ego:

„Śpimy na łące, wstajemy, przejechane 240km, tankowanie ja 20l, R 22l, przejechane 210km, tankowanie ja 19l R 21l, jemy, przejechane 107km tankowanie, ja 12l, R14l,

urwało się mocowanie stelaża od ramy, przejechane 280, tankowanie, ja 19l R 20l, przejechane 230, tankowanie, ja 15l, R 17l, spanie w lasku brzoźowym"

Tydzień przed i tydzień po wyglądały całkiem podobnie może tylko miejscach innych miejscach spaliśmy. Ja, to ja czyli Izi, a R to Robert vel Movistar.

Podziękowania dla Hajnego z forum [www.africatwin.cz](http://www.africatwin.cz) za opony, które nam załatwił na wyprawę.

Samborowi (on wie za co), Erwinowi z Koszyc (za gruszkówkę którą obiecaliśmy dowieźć na Kamczatkę i słowa dotrzy maliśmy), Marpowi (za podtrzymywanie na duchu, że też chciało mu się z Wrocławia jechać do Terespoła nas pożegnać), Wasilczukowi (za wałówkę 😊), Jarkowi (za dzień wcześniej 😊) i wszystkim, którzy odprowadzali nas do granicy.

Przygotowania:

Dwa dni przed wyjazdem Robert wysyła mnie do Biedronki po liofilizaty (jakby w Rosji nie było nic do jedzenia). Idę tym bardziej, że przypomniałem sobie, że nie mam karimaty, a w Biedronce jakieś promocje. Robert posiada profesjonalną karimatę Term-a-rest, którą rok wcześniej wyciągnął z kontenera, co z Indii wracał i była uwiązana do jakiegoś motocykla BMW zwanego potocznie „krową”. Za 22zł nabywam super hiper karimatę w technologii rejlii (fakt że potem okazało się że 20 cm za krótką). Karimata, karimatą, ale może jeszcze jakiś namiot by się przydał. Akurat na namioty też jest promocja z 39,90 przecena na 19,90, biorę 1 szt. I pluję sobie w brodę, że za karimatę dałem więcej, do cholery. Na wszelki wypadek Movistar zaopatruje się w hurtowni u kolegi Maćka, co też AT śmiga, w 2 szt. Izi-tentów. No chyba wszystko jest. Można ruszać.

Movistar wyrobił nowe międzynarodowe prawo jazdy, bo podobno potrzebne.

Ja mam od dwóch lat nieważne międzynarodowe prawo jazdy i na nim jadę, a co potem się będziemy martwić.

# Dzień przed wyjazdem tzw. dzień -1 (kochana pani Maria).

Jadąc na ostatnią pożegnalną kolację do mojej ulubionej restauracji „La Siesta” (<http://www.lasiesta.net.pl/pl/orestauracji/>) łamię sobie/pęka mi ząb, jest godzina 18.00 dzień przed wyjazdem. Co jest do cholery mamy nie jechać? Dzwonię do p.Marii mojej dentystki czy coś da się zrobić, bo jutro o 12.00 start na Kamczatkę. Umawiamy się na 9,00 może coś da się poradzić. Jadąc już do domu przypominam sobie, że w robocie zostawiłem baterie do aparatu. Co jest do cholery mamy nie jechać? A rano, gdy testowałem Africę stopił się ślimak do napędu prędkościomierza. Co do cholery nie jechać mamy? Nie ze mną te numery.

Wracam po baterię do roboty. Z drugiej Africy, co stoi w garażu przekładam ślimak, a ząb zostaje rano załatany.

# Dzień 2. Próba przejazdu. Przejechane 1243km.

Rano pobudka, pakowanko i wszyscy ruszamy do Brześcia-Terespola.



Tam jeszcze ma na nas czekać Wasilczuk z ekipą. No i kurna się zaczyna TRZODA. W Siedlcach Robert wjeżdża w dupę pani z niebieskiego VW Polo a że to blondynka, to się cyrk zaczyna i jazda bez trzymanki.

Oświadczenia, policja, teściowa, strat ocenianie (Mamy kurwa nie jechać ja się pytam).



W końcu jakoś docieramy do granicy tam szybko wymieniamy się zawieszzeniami przednimi z Wasilczukiem, co by AT prosto jechała, całusy, uściski, machanie

zasmarkanymi chusteczkami, wałowa na drogę od Pawła vel Wasilczuka, bo niestety samogon który mieli cały wytrąbili.



My na wschód (tam musi być jakaś cywilizacja) reszta na zachód poza jednym Ervinem,



który na południe jedzie, do Koszyc.

Dzięki wam dziewczyny i chłopaki za wszystko. Na granicy okazuje się, że powinniśmy mieć wize tranzytowe na wjazd do Białorusi. Podobno to od nowego roku weszło w życie (Sambor masz w ryj). Nie stresujemy się zbytnio to dopiero początek wycieczki i kupę czasu mamy. Pomyśleliśmy, że szanowni celnicy do łapki coś chcieli. Po 3 godzinach negocjacji, podchodów i czego tam jeszcze, mamy już wszystkie papierki, pieczątki i na własne ryzyko chcemy jechać dalej (już tak kiedyś w Mołdawii podróżowaliśmy jak wize jeszcze obowiązywały i fajnie było), ale nagle

jedna nadgorliwa pani, (dlaczego to zawsze są kobiety) upiera się, i na każdym załatwionym papierku, na każdej załatwionej z mozołem pieczęcie przybija nam inną z napisem „Anulowano” i do konsulatu odsyła w sobotę. Wywiad z polskim celnikiem potwierdza jednak że musimy mieć wizę tranzytową. Mamy nie jechać czy jak do cholery?

Rzucamy, więc monetą, reszka jedziemy dalej omijając Białoruś przez Litwę, Łotwę, orzeł przez Ukrainę. Wypada orzeł, sms do Fuksa, który zanabył AT od Pawła z Jasła i w Kijowie od pół roku mieszka, że niech się dzisiaj szuka na odwiedzin. Tak, więc DZIDA na Dorohusk, potem

Kijów, wbijamy się na 200 kilometrowy zamknięty i remontowany odcinek drogi o 24.00. OFF-road nocą na Ukrainie to jest to. Docieramy do Fuksa o 4.00 tam NAJEBKA i spać.



# Dzień 3. My w matuszce Rasiji.

## Przejechane 355km.

Pobudka z samego rana o 12.00 czasu Ukraina. Wyjazd 13.00. Szybkie pożegnanie z Fuksem. Ciepło jak zwykle. Wbiliśmy się znowu w 200 kilometrowy odcinek z zakazem wjazdu (te drogi coś jęczą, że na 2012 rok szykują czy jakoś tak). Odcinkami jedzie się jak po stole, żadnych zakrętów, aut tyle co miejscowi.

Po drodze zatrzymuje nas policja na radar za przekroczenie prędkości. Dodatkowo próbuje nam wmówić (tu pokazuje nam mapę z 1997 roku z zaznaczoną na czerwono i zielono drogą. Czerwona to ta, którą jedziemy a nie powinniśmy, zielona to ta właściwa tyle że chyba ze 100 km trzeba by było nadrobić) że złamaliśmy wszystkie zasady ruchu.

Jak Africą na Ukrainie można przekroczyć prędkość 🚗? Po 15 minutach rozmowy, milicjant/policjant chciał nam dać w końcu pieniądze na jedzenie. Jako że ciągle zakazem jedziemy, dojeżdżamy do budowy mostu. Dwóch pracowników chcąc zarobić na browar, pomagają nam przewalić motocykle przez tory kolejowe.

Docieramy do granicy UA-RUS tam spędzamy 4 godziny i jesteśmy w Rosji! Bez jakichkolwiek problemów, trwało to dłużej niż zwykle, gdyż nie mieliśmy żadnej ichniej waluty a tylko w takich chcieli opłaty żebyśmy uiszczali. Oczywiście musieliśmy też załatwić z jedną panią celnik wwoz motocykli (znów kobieta). „Wriemiennyj wwoz” jest wydawany standartowo na 2 tygodnie, ale my po małej bajerze i suvenirze w postaci ekskluzywnej wódki „Gorzkiej Żołądkowej” miętowej załatwiamy sobie wwoz na 1 miesiąc, chcieliśmy na 2 miesiące, ale krzyknęła nam 5000 rubli za dwóch.



Po małych negocjacjach cena spadła do 2000 za, dwóch ale to i tak za dużo. Tłumaczyła, że niżej nie może zejść, bo musi się z koleżanką podzielić. Jako że ciemno się zaczęło robić śpiimy zaraz za granicą w hotelu 1000 gwiazdkowym. Tak jak tam komary wpierniczały, to chyba nigdzie na tym wyjeździe. Tak nam się przynajmniej wydawało.....



## Dzień 4. ALF. Przejechane 550km.

Rano pobudka, pakowanie i w drogę. Ruch spory, mijamy miasta obwodnicami, więc nie musimy się przez nie pchać. Przed Moskwą ruch robi się naprawdę duży. Raz trzy, raz cztery pasy w jedną stronę. W samym mieście jest już po 5 pasów. Mercedes S, to chyba jedno z najbardziej marnych aut jakie tam jeżdżą. Robią się korki, przez które się przeciskamy. Jedna obwodnica, potem druga, potem już Złote Kolco. Docieramy w końcu do Aleksa vel Alfa. Na jakiś czas zamieszkamy u niego.



Na co dzień zajmuje się serwisowaniem motocykli. Ma Mercedesa Sprintera, a na nim warsztat. Czasem jeśli awaria jest poważniejsza, pakuje sprzęt na auto i przywozi do Moskwy. Na pytanie jak daleko wyjeżdża, odpowiada że blisko, maksymalnie 1 000 – 1 500 km.



Parkujemy moto. Alf mieszka 15 min z buta od Placu Czerwonego. Od jutra zaczniemy załatwiać wysyłkę nas i moto na Kamczatkę. My niby mamy bilety, moto niby też załatwione, za pomocą dwóch znajomych Koli i Andrieja, ale że w Rosji byliśmy już kilka razy wiemy, że to takie proste nie jest 😊  
Tu należałoby się cofnąć, o co najmniej 2 lata.

Jak poznałem Andrieja i Kolję. Zadzwonił do mnie Sqwer ([www.sqwer.cz](http://www.sqwer.cz)) że jeden znajomy Rosjanin rozwalił się pod Rzymem jak wracał ze zlotu Varadero na Sycylii i trza go szybko ściągnąć do Rosji, bo wiza mu się kończy za trzy dni i mogą być problemy z opuszczeniem Unii Europejskiej. Bieremy busa i dzida na zmianę non-stop do Rzymu tam najebka, pakowanko moto na pakę, koleś do kabiny i dzida na Brześć-Terespol. Tu to można by całą epopeję opisać jeszcze. Bo nas dwóch w busie + Andriej + za nami na moto jeden koleś na trampku drugi na Africy. Kola na Trampku zalicza jeszcze na austrijackiej autostradzie 300m spotkanie z tamtejszym asfaltem. Czasu coraz mniej, wizy się kończą i kupa innych problemów. Najważniejsze, że zdążyliśmy i wszystko się udało, a Andriej miał dług do odpracowania 😊

Fakt że kontakt się urwał jak kiedyś telefon z namiarami zgubiłem, cholera nie tylko ten kontakt się urwał, ale powoli zaczynam wierzyć w przypadki. O co biega? W roku 2008 coś tam pomagałem przy organizacji zlotu w Kletnie, a zawsze informację o nim wiem na czeskim forum AT [http://www.africatwin.cz/prehled\\_akci.asp?stranka=2](http://www.africatwin.cz/prehled_akci.asp?stranka=2)

Nagle telefon -"Cześć tu Andriej z Moskwy mogę przyjechać na zlot do Kletna znalazłem informacje na czeskiej stronie"

ja - „ sie głupio pytasz, dawaj”

Okazało się jednak, że coś tam w pracy nie wypaliło czy baba się na wyjazd nie zgodziła i nie dotarł. Ale kontakt odnowiony. Andriej od roku siedzi na Słowenii bo tam babę poznał.

Mija kilka dni mamy problemy z załatwieniem wysyłki motocykli z Moskwy. Dzwonię do niego czy nie zna kogoś kto nam pomóc, w końcu całe życie mieszkał w Moskwie. On, nie ma sprawy tu masz namiary do Kolji, ten co z Rzymu też jechał, dzwoń do niego wszystko załatwi. Kilka telefonów i maili do Moskwy i wszystko załatwione. Mamy tylko moto dostarczyć. Jest tylko jeden problem. Kiedy my dotrzemy do Moskwy Kolja na wakacjach będzie u Andrieja na Słowenii, ale dostajemy namiary na Aleksa który nam wszystko załatwi i jakby co pomoże. I tak poznaliśmy Aleksa vel ALFA.

Tak naprawdę, jutro sądny dzień...



# Dzień 5. Ale jaja. Przejechane 45km na Szeremietiewo. Wtorek

Po zniszczeniu zapasów gorzkiej żołądkowej przywiezionych z kraju Kraka, rano start na Szeremietiewo, aby pozbyć się motocykli. My mamy lecieć dopiero za dwa dni. Na Szeremietiewo wyjechaliśmy o 10.00 wróciliśmy o 20.00 a miało być dwie godziny. Ale po kolei...



Ubogich to i w Moskwie trzeba wspierać

Wjeżdżamy na Cargo zdać moto i zaczynają się pomiary czy wejdą (choć wcześniej wszystko było ustalone i podane łącznie z wymiarami i wagami). Trwało to 15 min. Demontaż szyby, opony w karton, REWELACJA, tylko gdzie jest zonk...? Przecież to Rosja! 😊 Nie wiedzieli tylko że to obcokrajowcy będą wysyłać motocykle, tak że zaczyna się znany też z innych lat cyrk, tym bardziej że motocykle wysyłamy w całości, z paliwem olejami akumulatorem, a nie w żadnej paczce czy w skrzyni. Organizator wysyłki Siergiej mówi: - „Po co motocykle mają lecieć w środę do Pietropawłowska, jak tam nie ma składu celnego. Niech lecą z wami w czwartek”. My ok, jeszcze lepiej jak polecą tym samym samolotem co my. Zdajemy moto jedynie szyby i lusterka demontujemy i klemy od akumulatora odkręcamy to wszystko. Olej w silniku, paliwo w zbiorniku, aku w moto zostaje i nic nie rozbieramy aby w jakąkolwiek

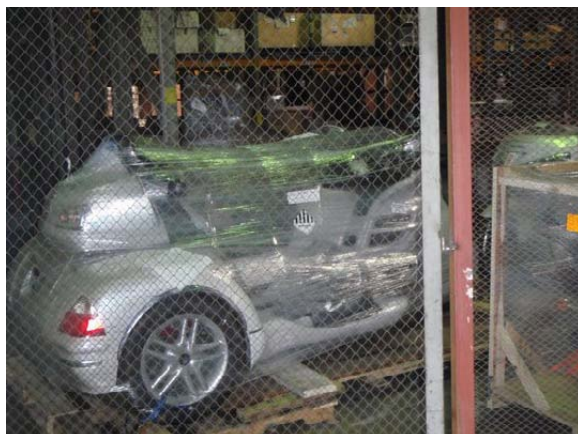
skrzynie pakować. No, motocykle zdane, po ważone pojedynczo, w całości z paczkami, bo dwie dodatkowo wysyłamy, w których są nasze szyby, opony, buzery i takie tam nie wygodnie rzeczy.



Tyle ważyła Iziego drynda







Takie wynalazki też samolotem da się przewieźć

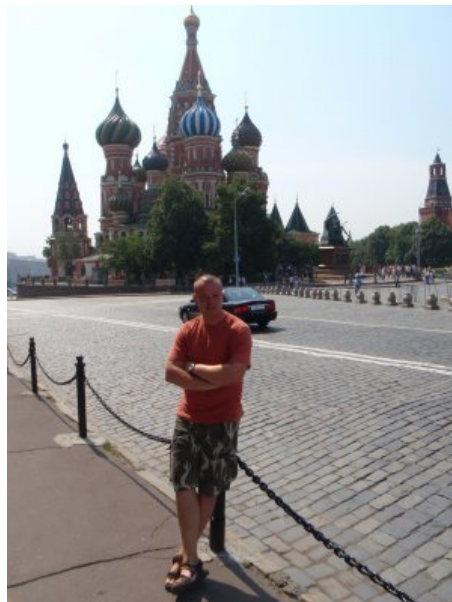
Idziemy się rozliczyć i tak jak wcześniej myślałem zaczyna się jazda bez trzymanki. Cena wcześniej ustalona na X wynosi teraz  $X \times 4$ . Dlaczego? Bo to, bo tamto, bo tak i już czyli zaczynają się negocjacje.

Tu powinna powstać osobna opowieść 😊 Po 8h „negocjacji” straszenia, błagania, modłów, zaklęć, wyklęć i przekleństw, cena ustalona zostaje na poziomie  $X \times 1,2$  – jest to dla nas już do przyjęcia. Z taką kwotą liczyliśmy się od samego początku (bakszysz nada zapłacić). Fakt, że gdyby nie pomoc Alfa byłoby o wiele trudniej. Kwity wypisane, pieniądze przekazane, możemy iść spokojnie się odstresować – Gorka Żołądkowa.



# Dzień 6. Diebosz. Przejechane 0km. Środa.

Mamy cały dzień wolny. Poświęcamy go na zwiedzanie tego pana co leży na placu czerwonym, pojeżdżenie metrem (we Wrocławiu tego nie ma), wymianę waluty, browarzenie, pooglądanie lasek, też u nas nie spotykanych, a wieczorem spotkanie z Dieboszem z klubu padonki [www.padonki.ru](http://www.padonki.ru), którego poznaliśmy rok wcześniej na Mołdawii w Kiszyniowie na imprezie czaptera Mołdawia.





Generalnie będąc w zeszłym roku na wyjeździe, mieliśmy w planach odwiedzenie Kiszniowa, gdzie poznaliśmy Diebosza. Facet nadaje na tych samych falach co my, czyli najepka rulezzzz. Nie będę pisał o szczegółach bo dzieci mogą to czytać. W Kiszniowie spędziliśmy 3 dni. Było wtedy chyba zaćmienie słońca, bo ciemności nas nie opuszczały.

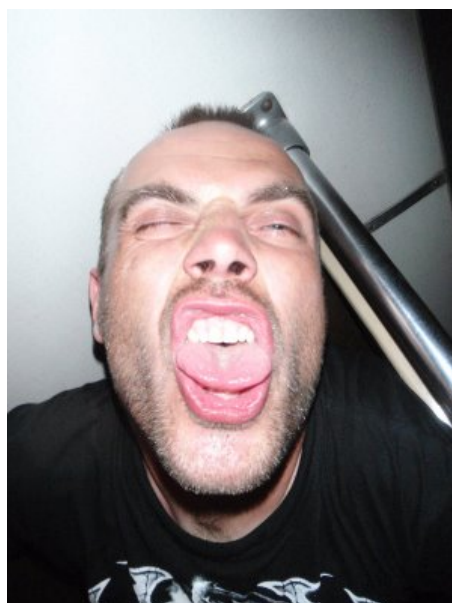
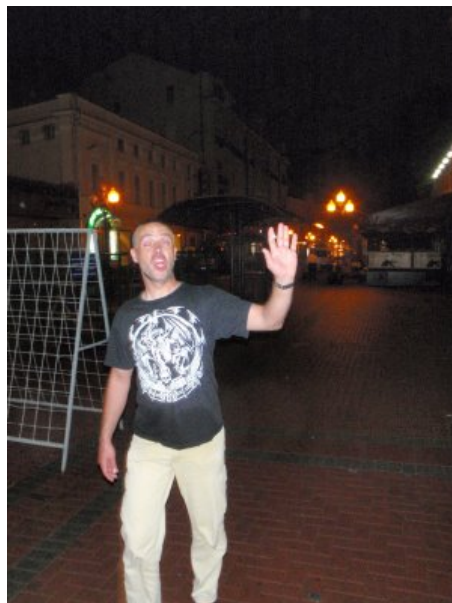




W Moskwie umówiliśmy się z Dieboszem gdzieś w centrum, w jakiejś knajpie, gdzie ponoć motocykliści przyjeżdżają. Ludzi było full, ale gęby Diebosza nie sposób nie rozpoznać. Deklujemy się na końcu sali, i tradycyjnie wjeżdża na stół spora ilość napitku.



Wychodzimy ostatni, idziemy w stronę metra, co by się do Alfa dostać. Trza iść spać, bo jutro kolejny sądny dzień.



# Dzień 7. Lecimy Uraaaaaaaaaaaaaaa.

Przeleciane....chyba z 9 tyś km.

## Czwartek

Zostawiamy u Alfa cały zapas Gorzkiej Żołądkowej bo ją bardzo polubił, latamy trochę skuterem po Moskwie i na Szeremietiewo bo o 16.10 wylot do PKC. Alf wiezie nas na lotnisko. Z centrum Moskwy na Szeremietiewo jest ponad 30 km. Po odprawie, na której skrupulatnie wszystkich sprawdzają, łącznie ze zdejmowaniem butów zasuwamy na odpowiednie wyjście, ludzie jarają gdzie się da. Schodzimy na dół do autobusu, który ma nas dowieść na płytę lotniska. Pchają się wszyscy, jak by miejsca im mieli zająć. Żeby wszystkich zabrać, autobus podejżdża trzy razy.

Tu w samolotach i na odprawach jest bardzo fajnie, można mieć alkohol w szklanych butelkach którego nie zamykają w żadnych specjalnych pojemnikach. Kupujesz flachę, to na pokładzie wyciągasz i najebka, tak że na 10 tys metrów niezłą zabawę zaliczamy w samolocie. Koledze który siedział przed nami, wypijamy cały zapas whisky, on nam cały zapas żubrówki. Po wylądowaniu na kolebę czeka uaz z napisem milicja i go zabiera w eskorcie, nam się udaje. Obok nas siedzi starszy jegomość, który wraca z Moskwy do Pietropawłowska. Za dawnych czasów wysłali chłopca do wojska na Kamczatkę i jak większość z nich już tam został. Był u brata w odwiedzinach, nie widzieli się kilka lat. Jedni pasażerowie są ubrani zimowo, inni jak by z plaży wrócili. Szczególną uwagę przykuwają dwie dziewczyny w mini. Jak wchodziły schodami do samolotu, wszyscy faceci stojący jeszcze na dole mieli ciekawy widok. Zastanawiamy się jak tam pogoda i czy dryndy oby na pewno lecą naszym samolotem. Stare i zbutwiałe stewardessy wrażenia na nas nie robią. Najgorsze były małe znudzone i ryczące dzieci. Staraliśmy się usnąć.

Niestety, dwie miłe panie siedzą na końcu samolotu, a my na skrzydle. Najebka czyni cuda

# Dzień 8. Elizewo. Przejechane 0km.

## Chyba piątek

Lądujemy Ił-em 96 na Kamczatce (nie chcieli nam go sprzedać).



Odpalamy GPS, żeby zobaczyć czy oby faktycznie to Kamczatka. No tak, to jednak to miejsce. Prostopadle do pasa którym lądowaliśmy nad naszymi głowami przelatują MIGi29. Nikt na nas nie czeka, buuuuuuuu, ale to normalne, bo jak nas Łysol informuje u Saszy z powodu naszego przyjazdu jakieś spotkanie było i nikt się rano nie obudził. Idziemy po toboły, które wylądowały w małym pomieszczeniu.

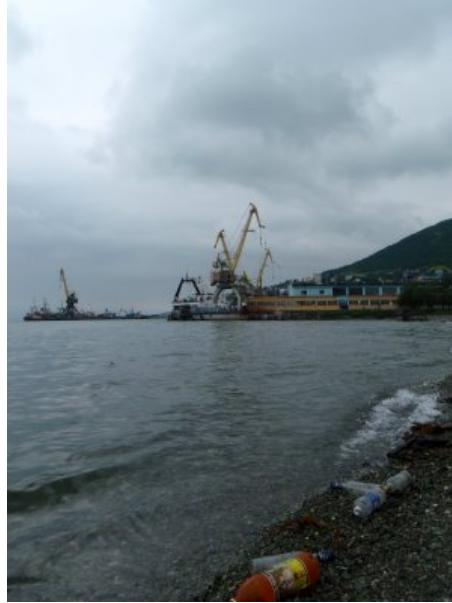
Każdy kto z taśmociągu bierze torbę, musi udowodnić panu przy wyjściu że to jego bagaż. No nic to, przestawiamy budziki o +11 godzin i idziemy spróbować odebrać motocykle, co z nami miały przylecieć. Pani na gruzowym terminalu informuje nas, aby przyjść za 2 godziny, bo dopiero wtedy rozładują samolot, idziemy do parku na przeciw lotniska i obserwujemy wyładunek, wypakowują, wypakowują, motocykli nie widać ludzie wsiadają samolot odlatuje idziemy do pani jeszcze raz.

Okazuje się, że zapomnieli w Moskwie zapakować, akurat to mnie nie dziwi toż to Rosja a ja tu już nie pierwszy raz. Co z tym fantem zrobić? Pomyślimy później teraz

trza siebie i bagaż przetransportować do PKC. Próbujemy dzwonić do Saszy, ale „telefon nie rabotajet”, no to do Łysola. On ich w końcu obudził (nie wiem jak) i daje znać że odbiorą nas z lotniska nam „nada rzdać”. W końcu jakoś wszyscy się spotykamy, Locha kolega Saszy idzie sprawdzić co z naszymi motocyklami. Uruchamiamy jeszcze w Moskwie Aleksa w tej sprawie i dzwoniemy do Miedwiediewa, przecież tu tyle „miedwiedzi Kodiaków”. Kilka chwil oczekiwania i jest odpowiedź: będą jutro, pojutrze lub w ogóle kiedyś tam. A że ta odpowiedź nas satysfakcjonuje to na dzisiaj dajemy sobie spokój. Jedziemy do Saszy domu. Po drodze jakieś śniadane,



i szybkie zwiedzanie Pietropawłowka. Widać, że miasto żyje z oceanu. Wszędzie dźwigi portowe i wpływające do portów statki towarowe. Zresztą to jedyna droga, po za lotniczą dostania się na półwysep.



Jest sporo okrętów wojennych, łodzi podwodnych w zatoce. Na drugim brzegu jest małe miasteczko i port wojenny. Żeby się tam dostać, trzeba mieć specjalne zezwolenie. Locha mówi, że postara się je załatwić. Facet dostał od nas ksywkę „reżyser” telefony grzały się w jego rękach, cały czas nawijał, coś załatwiał. Miasto szare, ruch spory, wszystkie auta to 4x4 od typowych terenówek, po Toyoty Yaris, czy Nissany Micra. Ale większość z nich, to marki u nas nie znane.

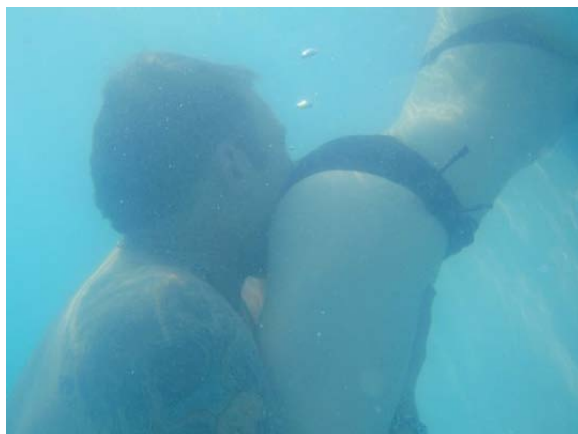
Cholera wie co to za wynalazki. 99,9% aut ma kierownicę po prawej stronie, choć ruch lewostronny. Wszystko płynie z Japonii do Władywostoku, a potem do Pietropawłowska. Pogoda pochmurna, więc wulkanów za bardzo nie widać. Ale co tam, to dopiero początek wyjazdu. U Saszy szybkie jedzenie z menu typowo ichniejszym, czyli kraby, ryby, kawior.







Po obiadku relaks w aqua parku. Woda ciepłutka, prosto z gejzera, lato, jesień, zima basen czynny cały czas.



Po drodze jedziemy do znajomego Saszy, który importuje z USA i Japonii motocykle, potem je sprzedaje. Ceny mają wariackie mimo że Japonia blisko. Średnio motocykle są droższe niż u nas o 10-20%. Zdarzają się często pojemności 400 cm<sup>3</sup>.



Niebo zaczyna się przecierać i wyłaniają się powoli wulkany



Dzień kończymy jak co dzień, hołd pewnym trzeba oddać. Jak tu „ciemno” szybko się robi, czyli najepka.

# Dzień 9. Tichy Okean (Ocean Spokojny). Przejchane 35km z Elizewa do garażu. Sobota.

Rano przejeżdża Kola co ma RD04 (to druga i zarazem ostatnia AT na Kamczatce). Był dwa lata temu motocyklem na Goblin Show. Na co dzień jeździ Subaru,



z kierownicą po jednej słusznej stronie, czyli prawej. Zabiera nas nad Ocean Spokojny. Tam kompu, kompu, czarna plaża, czarny piasek, mewy, ryby, wraki statków.



Ludzie rozbijają namioty, grilują. Całe nadbrzeże usiane jest opuszczonymi bunkrami po czasach zimnej wojny. Na zboczach gór, betonowe konstrukcje, gdzie niegdyś stały czołgi i działa strzegące ZSRR, dookoła łuski, ostrzelane ściany, oczywiście co można było zabrać ze sobą zabrano.

Polscy złomiarze mieli by tutaj raj, wszędzie rozrzucony złom. Prowadzą tam wąskie, dziurawe ścieżki. Widać pierwsze ślady niedźwiedzi, w postaci gówien na ścieżkach, przewracanych krzaków i małych drzewek (których liczbę na Kamczatce ocenia się na ok. 20 tyś). Logistycznie budowa tego wszystkiego była wyzwaniem. Tam gdzie kończy się plaża a zaczynają pola uprawne, głębokie rowy utrudniające dostarcenie obcym wojskom w głąb lądu.





Nagle telefon od Lochy- „Wracajcie są motocykle”. No to dzida na „gruzowyj terminal” do Jelizewa, który jak w Moskwie twierdzą że nie istnieje. Tam jak zawsze trochę jaj, czyli kasa. Pewnie za to, że byli łaskawi nam oddać motocykle. 2800 rubli, sami nie wiemy za co ale nada płacić i już. Po wyjeździe w terminalu powiększamy ilość Afric RD07 i RD04 o 100% na Kamczatce. Oglądamy dryndy, o dziwo są całe i nie uszkodzone.



Tak że wszystko gra, Szybki montaż szyb, klem w aku, graty do Land Cruisera, co my go potem kupili, i w drogę do PKC. Odwiedzamy klub „Kwadratowe koło”.



Chłopaki poczynili już 2 próby przejechania drogą lądową z Pietropawłowska do Magadanu. Okazuje się, że nie udane, więc kombinują trzecią. Poznajemy szefa, dostajemy filmy z wypraw, rozmawiamy o naszych planach przejazdu, wszędzie na ścianach mapy, zdjęcia. Mamy pomysł na przejazd z Kamczatki do Magadanu.

Okazuje się że nasza trasa jest chyba najbardziej słuszną. Pokazujemy, co planujemy za 2-4 lata przejechać, teraz to rozpoznanie terenu. Opowiada gdzie w tym roku dojechali. Najlepsze są teksty w stylu „po dwóch tygodniach „jazdy”, tu się uśmiecha, pokonaliśmy 100km, taki teren, i musieliśmy się wycofać” i tym podobne. Z jednej strony Kamczatki góry, a z drugiej rzeki, dróg brak. Po powrocie do PKC, Sasza zabiera nas na statek, którym pływa. W porcie stoi również okręt ochrony wybrzeża.



Zdarzają się przypadki, gdy łodzie które łowią kraby w zakazanych miejscach, lub w czasie w którym nie można, zostają ostrzelane dla przykładu. Krypa na dno, ludzie na pokład. Najlepszy biznes jest na handlu kraba w Japonii. Wypływając na pół legalną robotę można nie źle zarobić, ale ryzykowne jest wtedy spotkanie właśnie z taką łajbą. Sasza pokazuje gdzie jego miejsce pracy, gdzie i jak sortuje się kraba.



Praca na łodzi trwa od 3 do 6 miesięcy. Dziennie po 12 godzin oddziela się nogi kraba od jego reszty i tak prze 3 lub 6 miesięcy.....Bierzemy kilka krabów do domu na kolację.



Będą krabowe specjały w różnych wydaniach.



Uwierzcie nam były.....Najpeka też.....



# Dzień 10. MIG-31-szy. Przejechane 306km. Niedziela.

Dzisiaj jakieś święto rybaka, u nich to tak jak u nas górnik. Jest tuningowisko, gorące źródła, lotnisko, helikopter, Mig31.

Pobudka i do Elizewa lecimy na imprezkę, którą nazwaliśmy tuningowiejsko. Kupa ludzi, kupa aut, kupa motocykli, kupa fajnych porozbieranych lasek, kupa japońskiego tuningu, kupa driftu, kupa dymu z palonych opon w ogóle kupa wszystkiego. Na początek dnia kontrola





Plan taki na dzisiaj taki, że pojedziemy dalej do Małek, gdzie są gorące źródła. Po drodze wpadamy do bazy Dimy, który jedzie z nami na Hondzie Dominator, pooglądać helikoptery i samoloty. Jest kapitanem jednego ze śmigłowców



(może jak nie będzie dowódcy to uda się polecieć), którym sprawdza gdzie spadł ostatnio wystrzelony pocisk. Czasem jak się Ruskim kierunki popierniczą i zatopia jakiś statek, Dima próbuje uratować rozbitków. Fajna robota, ruska armia strzela z samolotów lub okrętów wojennych na bliżej niezidentyfikowany poligon, a chłopak se lata i sprawdza gdzie pizgnął pocisk. Miejsca sporo, więc walą gdzie popadnie. Aby

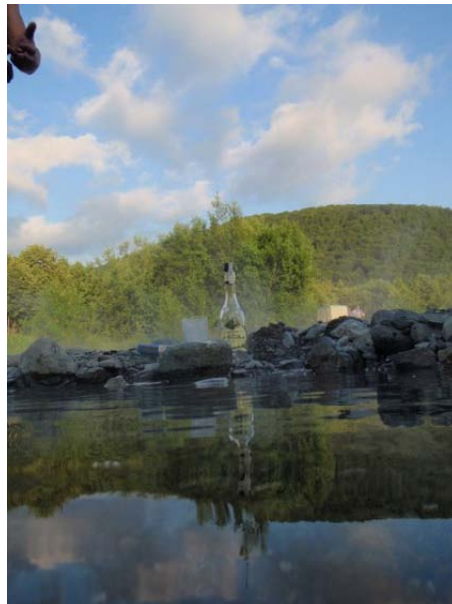
do lądowiska helikopterów dotrzeć, musieliśmy dwa razy przejechać przez lotnisko, na którym lądują MIGi, które też startują, tak że trza uważać. Zresztą jest to baza wojskowa. Gdy docieramy na miejsce przylatuje zgraja psów i dwóch żołnierzy. Znają Dimę więc nie strzelają do nas. Asfalt kończy się szybko, potem leśne dróżki, hopki, bagienka. Pełen luz. Próbujemy odpalić śmigłowiec, ale baterie ma chyba za słabe. Dima pokazuje co jest do czego. Potem oczywiście relaks w gorących źródłach w miejscowości Małki. (jakieś 100 km od PKC).

Po drodze posiłek w postaci pysznych bułeczek z różnym farszem, a to z parową, a to z mięsem, a to z grzybami i kapuchą. Schabowego niestety nie mieli...





Zabieramy Gruszkówkę, którą Ervin nam dał gdy żegnał nas u Jarka. Życzył sobie tylko, żebyśmy nie wyłopali jej za wcześnie, tylko i wyłącznie gdy będziemy już na Kamczatce. Jako że Ervin, to porządny chłop, zakopaliśmy ją gdzieś w bagażach chcąc dotrzymać słowa i jej nie wychłać. Na szczęście gdy byliśmy już u Saszy, znalazła się.



Nie ma jazdy bez koniaczku moskiewskiego. Napitek rewelacyjny. Więc zaopatrzeni w dwa wykwintne trunki, suniemy nad gorące źródła. Moczymy dupska w wodach, gdzie są różne temperatury. Większe, mniejsze rozlewiska wody, dostarczają niesamowitych wrażeń, szczególnie gdy jesteś po gruszkowym drinku i przez

nieopatrzność wejdiesz do wody o temperaturze 50 st.! Rozwiązane mają to tak, że układają z rzecznych kamieni jakby ogrodzenie. Jeśli woda w danym miejscu ma być cieplejsza, średnica kałuży jest mniejsza, i wpada do niej mniej zimnej wody z górskiego strumienia. Jeśli ma być chłodniejsza, okrąg jest większy i więcej zimnej wody wpływa.



Trzeba uważać na miejsce wypływu gorącej wody, bo można nogi poparzyć. Dzień kończymy jak co dzień, czyli najepka.

# Dzień 11. Geotermoelektrownia. Przejechane 250km. Wycieki z zawieszania i luzy na główce ramy.

Plan na dzisiaj zobaczyć wulkana i gejzera, bo do tej pory ciągle chmury wszystko zasłaniają i nic nie widzieliśmy jeszcze. Ale żeby zobaczyć, trzeba wyjechać z PKC, bo tam od oceanu cały czas chmury. Tak że z samego rana kupujemy śniadanie w formie Koniaku Moskiewskiego, kilku paczek fajek Ruski Styl naginamy do elektrowni geotermalnej (takie coś co moc gejzera na prąd lub ciepło zamienia) oraz na poligon wojskowy gdzie jest pustynia, ale z czarnym piaskiem taki nasz odpowiednik pustyni błędowskiej. Droga przezajebista, asfalt oczywiście skończył się zaraz za PKC widoki takie same.





Droga na początku szeroka, szuterek, później robi się wężziej. Niebo zaczyna być takie jak należy, czyli błękitne. Testujemy wszystkie patenty, jakie zastosowaliśmy. Coś jest nie tak z zawieszzeniami, nie da się jechać więcej niż 90km/h. Okazuje się, że spod oringów wywala olej w lagach. Wieczorem zobaczymy o co biega. Mamy takie patenty Turatecha do podwyższania zawieszzeń i to nie daje rady. Widoki nie z tej ziemi. Widać w oddali wulkan Mutnowski, z jego szczytu unosi się dym. Wjeżdżamy co raz wyżej.







Jest gorąco, więc w buzerach śmigamy. Gdy przejeżdżamy przez chmury, zaczyna być zimno i wilgotno. Po wyjeździe znów ciepło. Na dole widać chmury, przez które przejechaliśmy, dookoła zieleń, biel śniegu, jakieś fioletowe kwiaty, dymiące gejzery. Faktycznie nie na darmo nazwano Kamczatkę, krainą ognia i lodu. Grzejemy przez Mars, same kamienie i nic więcej. Testowali tu prototyp wszędołaza którego, potem chcieli wysłać na Marsa.





Piękne widoki, piękna dolina dojazdowa i kilka po drodze przejazdowych też pięknych. Trochę dziczymy po okolicy i ichniej pustyni błędowskiej i na pustyni kamienistej też, ale to rzeźnia. Zatrzymujemy się pod elektrownią. Ochrona mówi, że

przez zakład przejść się nie da, trzeba iść dookoła. Nie wiadomo o co chodzi. Z jednej strony idziesz po ubitym śniegu, zjeżdżamy na buzerach na dół, z drugiej strony słońce grzeje jak cholera, że ściągamy ciuchy.



Ostatni odcinek do gejzerów już z buta trzeba pokonać. Słychać w oddali huk, jak gorąca i pod ciśnieniem para wywali z wnętrza ziemi. Czuć i widać siarkę osadzającą

się na kamieniach. Większy zbiornik z wodą jest koloru prawie szmaragdowego, wali z niego jak by ktoś wysypał wywrotkę zgnitych jaj.



Za długo nie można w tym siedzieć, grozi utratą przytomności

Idziemy do motocykli już przez zakład. Ochrona nawet słowa nie powiedziała. Wracając do PKC Izi jeszcze zakopuje się w śniegu na amen. Z Saszą stwierdziliśmy że skoro Iziego nie ma, a przed chwilą był, to pewnie pojechał dalej przed nami. Jedziemy, jedziemy, a jego nie widać. Okazało się że pomógł wygrzebać dryndę przygodny niedźwiedź. Powrót do PKC. Wieczorem rozbieramy zawieszania w obu africach, prostujemy je, poprawiamy łożyska w główce ramy, bo luzy się porobiły i zostawiamy do rana, bo oringi nada wymienić na inne. Nie wiadomo czy to lot na wysokości 10 tyś. metrów im zaszkodził czy górskie kamczackie powietrze, czy może Touratecha patenty nie nadają się do AT tylko do BMW czy Touratech nie dał takich jak potrzeba.

# Dzień 12. Gorące źródła. Przejechane 147km. Małki.

Rano Iziego Africa leży na ziemi, siedzenie rozdarte. Wieczorem stała na podnośniku, ale rano już nie.



Jedziemy kupić właściwe Iziego oringi. Jeżdżąc po PKC wpadamy na lokalny bazar, zobaczyć co mają dobrego. Ryb i rybopodobnych stworzeń od cholery.





Szybkie zakupy (wybór ogromny, od koloru do wyboru. Izi zastanawiał się w jakim kolorze sobie zakupić), montaż, pakowanie i walimy w interior (<http://pl.wikipedia.org/wiki/Interior>). Jeżdżąc po PKC wpadamy na lokalny bazar, zobaczyć co mają dorego. Ryb i rybopodobnych stworzeń od cholery.

Plan taki, że nocujemy w Małkach, a na drugi dzień walimy do Esso, potem jeszcze dalej na północ. Do Małek dociera z nami Sasza z Krychą na RD07, Locha na Tenerze 600 z kolega na KLE 400 (taki japoński wynalazek), a wieczorem Dima na Tenerze 660 i Max na Vulkanie który wczoraj zakupił od Saszy. W Małkach już nie

tradycyjnie Moskiewski Koniak, tylko wódeczka Zielona Marka i japońskie piwo Asahi (<http://www.asahibeer.co.jp/english/>). Rozbijamy namiot (jak się później okazało pierwszy i ostatni raz na wyjeździe), szukujemy żarełko, zapijamy tym co przywieźliśmy.





Dima chce nam pokazać ciekawe przeprawy w okolicy. Locha jedzie z nami, ale tylko do sklepu (znając go to po wódkę Zielona Marka). Z godzinę albo dwie kręcimy się po różnych wyspach i szuwarach.

Wracając do bazy na NAJEPKE, widzimy że motocykl Lochy jeszcze stoi pod sklepem, a jakiś koleś wychodząc ze sklepu nas zatrzymuje, coś nie tak musi być. Stop, wpadamy do sklepu Locha cały we krwi trochę pobandażowany przez sprzedawcę.

Trzyma na czole worek z lodem. Chciał zrobić bączka, ale niestety nie wyszedł. Okazało się że łeb, kolana i łokcie nie wytrzymały kontaktu z ichniejszym szutrem. Wieziemy go do naszej bazy. Sasza dzwoni do jakiegoś kolesia, żeby przyjechał i go zabrał, ale Locha twierdzi, że zostaje z nami. Po paru głębszych idzie do namiotu spać. Wieczorem przyjeżdża koleś, pakuje Lochę do auta i jedzie do PKC żeby medyk go obejrzał.





A my tradycyjnie, taplamy się w wodzie, podrywamy miejscowe szczerbate piękności. Nie szło za dobrze, więc czołgamy się do namiotu spać. Od czasu do czasu słychać jakiegoś wychodzącego z namiotu kolesia, celem wydalenia zawartości z żołądka.



# Dzień 13 Szwajcaria Kamczatki🇰🇵?

## Przejechane 430km.

Przy 171 kilometrze pojawił się asfalt, w Miłkowie i zaraz znikł. Padł tripmaster, kierunki, obrotomierz.

Rano start do Esso. Dima nie jedzie, musi jakiś lot helikopterem wykonać i jakiś pocisk balistyczny znaleźć, Max też wraca prowadzi szkołę kjukuszinki czy jak to się nazywa i ma zajęcia. Locha już w nocy został wyekspediowany do PKC, aby go tam poskładali, reszta jedzie. Startujemy. 5km nawet nie przejechaliśmy gdy w KLE urywa się klema od akumulatora. Dalej z nami nie jedzie.

Dzwoni po kumpli aby go ściągnęli do PKC. Izi pognął pierwszy, ja z Saszą jedziemy wolniej, jakieś 70 – 80 km/h. Droga raz lepsza, czyli bez dziur, raz gorsza z dziurami, tarką, zgubionymi kawałami drewna, które spadło z ciężarówek (dobrze że w dzień jedziemy, bo w nocy można się nie źle nadziać na leżący klocek). Jedziemy w odległości jeden od drugiego jakieś 800 m. Kurzy się strasznie. Co jakieś 40 km przejeżdża auto, co 20 km jakiś zakręt.

Droga cały czas monotonna, ten sam krajobraz, czyli po jednej i po drugiej stronie las. Żadnego pobocza, tylko na krawędzi drogi usypane przyzmy szutru. Przed Miłkowem kontrola milicji, a w samym mieście jest jedyna stacja pomiędzy PKC a Kluczami. Jemy tam obiad. Zawsze Izi zamawiał żarcie, cały czas coś innego. Zawsze do obiadu zamawialiśmy sałatki. Mają ich setki, każda różna i każda tak samo dobra. Jak wyliczyliśmy do Esso zrobiliśmy z 600km z czego 32km asfaltem. Przy zjeździe do Esso zatrzymuje nas koleś jeepem. Gadka, szmatka, częstuje nas kwasem chlebowym. Kupujemy jeepa i podróżujemy jak Obi-Wan-Kenobi. Koleś mówi, że wczoraj w Esso na moście zastrzelili niedźwiedzia.



Docieramy do Esso zwanego tu Szwajcarią Kamczatki, pewnie dlatego że nikt z ludzi tu mieszkających w Szwajcarii nigdy nie był. Meldujemy się u znajomego Saszy. Po zalogowaniu idziemy na basen, w którym woda przez cały rok ma min. 35 stopni, to też jest ogrzewane z wulkanów jak całe miasteczko, miejscowe dziewczki próbują nas poderwać, ale jakaś dziwna u nich uroda i uzębienie mało kompletne.

A, jadąc do Esso, poczyniliśmy małe zakupy żywnościowe. Na miejscu otwierając kufer z ciuchami stwierdzam, że na dziurach otworzył się pasztet, 1kg cukru w kostkach, jakaś wędlina i pomidor. Gulasz wyglądał miał ciekawy, ale nikt nie chciał go jeść. Nauczony życiem i polityką logistyki Iziego, trzymałem tam śpiwór, karimatę, bluzę i klapki przeprowowe w technologii rejli. Tak że, chłopaki niezły ubaw mają jak to wszystko wyciągam i klnę pod nosem.

Niestety, zjeść się tego nie da 😊 Pogoda dopisała, więc szybka przepierka i wsio było suche. Naprzeciwko domu w którym mieszkaliśmy jest jakiś dom spokojnej starości, czy coś takiego. Stałym stróżem naszym drynd jest wielki dziadek, który cały czas coś trajkotał pod nosem. Po ostatniej regulacji przedniego zawieszenia, luzuję łożysko w główce ramy, bo kiera ciężko chodziła. Tradycyjna najepka, przeciąga się do wczesnych godzin porannych co było brzemienne w skutkach.

# Dzień 14. Łoszadzie końmi zwane. Przejechane na moto 0km na koniach z 50km.

Rano okazuje się, że w nocy zakupiliśmy konie i umówiliśmy się na wycieczkę na nich nad jezioro Ikar. Co go na żadnej mapie znaleźć nie możemy. No cóż taki lajv. Pogoda super, konie gotowe (jak się jeździ koniem/na koniu?)



Prawdziwy polski Dżon Łejn





Zaopatrujemy się w tubylczy spray przeciw komarom, przez nas zwanych sukinsynami. Owy spray jest o dziwo przez chwilę skuteczny oraz zestaw młodego turysty czyli moskiewski koniaczek w ilości wystarczającej. Zabieramy dwa plecaki, w których nie wiemy co się znajduje. I dzida w interior.

Po kilku kilometrach, zjedzeniu kilku kilograma jagód, zobaczeniu kilku niedźwiedziich kup, kilku spektakularnych wyjebek z konia wykonanych przez Iziego, (w końcu to jego pierwsza jazda na koniu), wyjaraniu paru blantów, wypiciu kilku koniaczków docieramy do jeziora.



W plecakach był garnek, ryby na uchę, przyprawy, talerze, łyżki i niespodzianka.... wódka 😊. Niebo robi się ciemne, zaczyna padać, więc zbieramy szybko chrust. Idę po wodę do jeziora. Sasza zabiera się za robienie zupy Uchy.



Padanie zamienia się w lanie i grzmienie, konie powiązane do drzew zaczynają wierzgać (ciekawe czy będzie środek lokomocji na powrót) a z gara nad ogniem coraz bardziej apetyczny zapach. Pojedli, popili moskiewskiego koniaku oczywiście, rozbiegane i przestraszone konie połapali i zabieramy się do powrotu.



Tym razem skrót przez rzeczkę był. W Esso po powrocie odwiedzamy jeszcze muzeum Ewenków oraz tubylczych ludów na wymarcu, dostajemy skórę z odpowiednika naszego jelenia od pana co w tajdze żyje. Koleś je to co da mu tajga i tak samo się ubiera, ale to na osobną opowieść.

Tutaj trzymali jedzenie. Wysoko, co by niedźwiedzie się nie dostały



My jeszcze do sklepu, zapas wódki robimy na najepkę i nura do basenu. W nocy na moście gdzie strielali do kodiaka, chłopaki łapią z mostu ryby. Gapią się w szybki nurt, w rękach trzymają długie kije zakończone metalowym ostrzem. Nie wiem jakie i gdzie te ryby były, dyskusja między nimi była zacięta, ale ja żadnej ryby nie widziałem. A, no i mostu, który jako jedyne miejsce w Esso było oświetlone... dwiema lampami.

# Dzień15. Autonomiczny koriacki okręg. Przejechane 125km.



Patriotyzm widać na każdym kroku

Wstajemy rano i stwierdzamy, że Sasza z całą ekipą jeszcze śpi. A że nasza nas ochota na pojedźawkę, to zaczynamy knuć. Odpalamy sprzęty i kierujemy się w stronę Anvagay. Wiktor, kolega Saszy mówił, że jadąc w tamtą stronę jest droga „traktornaja” która prowadzi do Ust-Huryzewo oraz Tigil, ale jest przerwany most i nikt tam latem nie jeździ. Postanawiamy spróbować.



Przerwany most jest na początku drogi, jakby co wrócimy. Okazuje się że dla Afryk ten most taki straszny nie jest i pokonujemy prawie bez problemów. Na początku droga jest lekko błotnista i kamienista, pnie się w górę. Potem zaczyna się trochę



piasku i ogromne jamy, które nas czasem zakrywają. Widać ślady niedźwiedzi. Gdyby popadał deszcz nie dało by rady jechać, ale na szczęście było sucho. Droga się czasem rozwidla, nie widać żadnych śladów jakichkolwiek pojazdów. Co trochę rozpadliny, wymyta przez deszcze droga. Dojeżdżamy do stacji trafo, przy której stoi mały domek. W ziemi jest zakopany kabel, który zimą jest kontrolowany przez pracowników. Takie domki są co około 20 km. Są w niej łóżka, jakiś stół, piec, trochę książek i starych gazet. Coś co pozwoli zabić nudę.





Jak by się komuś chciało sprawdzić gdzie jest ta chałupa, to współrzędne ma powyżej

To w nich śpią pracownicy, przesuając się codziennie do następnego. Widoki cudne. Cisza, spokój, góry i doliny, kompletna dzicz. Przejeżdżamy tą drogą około 60 km. Można by jeszcze jechać ale zawracamy aby zdążyć przed nocą. Wieczorem w Esso oczywiście basen, integracja z tubylczą ludnością i najepka, która po naszym wyjeździe stała się w Esso tradycją.

Wjeżdżamy do Autonomicznego Koriackiego Okręgu i wracamy. Chłopaki z 4x4 jechali tu tydzień.

## Dzień 16. Turbaza Matora.

Przejechane 253km. Miał być Ust-Kamczacki jest Matora. 2 przeprawy przez rzeki po drodze. Matora baza oddycha, zajebista droga dojazdowa.

Jedziemy do Ust-Kamczacki. Żegnamy się z Wiktorem i jego rodziną.



Za Esso pierwszy raz od wyjazdu z Polski i przybycia na Kamczatkę, lekko zmoczyło nam dupsko. Izi postanawia skorzystać z najnowszej zdobyczy kamczackiej techniki i ubiera kondona w technologii rejli.





Przez całą podróż ani razu nie padało (do tej pory). Sasza stwierdza, że pojedziemy do jego znajomych, którzy zaraz za miejscowością Klucze budują turbazę (baza turystyczna) Matera.

Zaraz przed Kluczami jest jedna przeprawa promem przez rzekę. Gdy dojeżdżaliśmy do przeprawy zatrzymaliśmy się z Izim żeby poczekać na Saszę, który z racji że jechał z Krychą, to szło mu wolniej. Robimy coś do żarcia na przydrożnej polance. Patrząc, z tyłu kapeć. Odpompowałem powietrza, ale za chwilę zeszło. Więc chyba przebita. Podjechaliśmy do pierwszego „szynomontarzu” co by chociaż kompresor był. Po wyjęciu dętki, okazało się że jest cała. Złożyliśmy wszystko z powrotem i grało.



Przy przeprawie stoją duże ciężarówki, wyładowane jakimiś blokami betonowymi. Widać coś tam budują. Jedna ciężarówka może wjechać na prom. Motocykliści za bilet nie płacą (taki ukłon w stronę motonogów).



Wjeżdżając na prom, częstujemy gościa który nas zagadał, browarem. Okazało się że kiedyś był w Polsce. Tak nas pokochał, że dostaliśmy na szczęście od niego po 100 rubli. Zjeżdżamy z promu, przejeżdżamy jakieś 20-30 km i skręcamy w piaszczystą niczym cement drogę, drogę której nie było na żadnej mapie. Zjazd w grawiejki prowadził ostro w dół.

Lajtowo sobie odkręciłem przy zjeździe, a na dole już leżałem. Cementowy piasek szybko mnie zatrzymał. Okazuje się, że do Matery jest jakieś 50km. Mamy z Izim kostki, Sasza łyse szosówki i plecak w postaci Krystyny. Izi napierdala, ja jakoś do przodu, Sasza ruchem okracnym w żółwym tempie. W końcu u Iziego odezwało się współczucie, bierze Krystynę na swoje moto. Co rusz słysząc jak Krystyna wrzeszczy,

bo lzi idzie bokami jak na żużlu. Po środku drogi na wymytej przez padający deszcz piaszczystej polanie, czekając na Szaszę widzimy świeże ślady miśka.



O 18 docieramy na miejsce. Nie spodziewałbym się że w środku Kamczatki 50 km od jedynej głównej drogi jest taki kemping. Wita nas Aleks wręczając spray na komary i zaprasza na wyżerkę.



Kemping jest w budowie. Co nie którzy mieszkają w zaadoptowanych cysternach, przerobionych na mieszkania.



Drewniane domki przypominają te z nowych europejskich kempingów. W środku kominek, ścieżki pomiędzy domkami wyłożone drewnianym chodnikiem. Jest kilka psów, które biegają wolno wokół kempingu, odstraszać przypadkowe niedźwiedzie. Aleks zabiera nas na łódkę motorową i płyniemy rzeką.





Po drodze widać małe niedźwiedzie, które zażywają kąpieli na brzegu wyspy, jest mnóstwo ptaków które, uczują jedząc niedawno padniętego wielkiego starego niedźwiedzia. Kompletna dzicz. Wieczorem idziemy do bani. Przyjechało kilkunastu znajomych Aleksa.

Trzoda, nalepka, dzida chcemy wszystko na raz. Rozpasane dziewczyny powywracały nam motocykle (z tego wieczoru zdjęć nie zamieszczamy). Rano chcemy jechać z Izim do Ust-Kamczacki i dogadujemy się z Saszą, że my pojedziemy a on będzie czekał na nas już w Kluczach. Droga powrotna do głównej drogi, jak obliczył Sasza zajęłaby mu ok. 5 godzin. Bania, najebka i spać. Alex to starosłowianiec.

Organizuje jakieś obrzędy, miesiąc ma 40 dni tydzień 9, Palią wielkie drewniane miecze i łażą po rozrżonych węglach. Na plecach ma wydzierany jakiś kościół, świętych, krzyże na stopach, ale ogólnie wypić lubi, swój chłop.



# Dzień 17. Mist Africa Ust-Kamczacki.

## Przejechane 447km.

Przed wyjazdem, Izi dzwoni jeszcze do centrali Hondy w Japonii, bo nie wiem gdzie sprawdzić olej w moto.



W nocy musiało trochę popadać (a jak się później okazało to i wulkan miał erupcję i ciemno i mglisto jest) bo z cementowej drogi zrobiło się nawet przyjemnie. Piasek przybrał konsystencję prawie betonu 😊





Wyjeżdżamy na główną i walimy na Ust-Kamczacki. Po ok.80 km wydaje nam się że, jesteśmy w Alpach, gdyby nie brak asfaltu i widoczne wulkany.





Droga robi się węższa, taka jak u nas, i zaczynają się zakręty, to w lewo to w prawo. Proste i płaska droga się skończyła. Jest słonecznie i ciepło. W oddali widać ciężkie i szare chmury z nad oceanu. Znaczący się tam jest cel naszej wycieczki. Ust-Kamczacki leży nad brzegiem oceanu miasteczko coraz bardziej się wyludnia. Jest podzielone na stary Ust-Kamczacki ..... i nowy.





Stary leży na drugim brzegu rzeki Kamczatka, gdzie udajemy się promem.

Przed wyjazdem do Saszy dzwonił Locha informując że statek do Władywostoku mamy we wtorek o 24.00. A że była niedziela mieliśmy sporo czasu, żeby wrócić do Pietropawłowska Kamczackiego. Na promie zaczepia nas gość, mówi że ma daczę na starym Ust-Kamczackim, jest zupa ucha i że przyjechał z Pietropawłowska Kamczackiego. Są z nim znajomi.





Za chwilę telefon od Saszy gdzie jesteśmy, bo on już po przeprawie w Kluczach. W daczcy najebka, kilku gości wali wódkę, piwo i nie wiadomo jeszcze co. Kolesie mówią, że prom kursuje co trzy godziny, więc mamy sporo czasu żeby pozwiedzać. Ale nasi zapraszający, chcą zapakować się z nami na dryndy i jeździć. Izi bierze jednego z nich (tego co najtrzeźwiej wyglądał) i pojechali. Po powrocie Iziego, pojechaliśmy na Myst Africa (to jeden z tajnych celów wyprawy), półwysep przypominający afrykański kontynent. Pojedliśmy, popiliśmy, zwiedziliśmy przetwórnię ryb i wracamy na prom.



Adorator Iziego płynie z nami, chce nas odprowadzić. Na promie okazuje się, że chce się z nami zabrać do Pietropawłowska. Cóż....prom dobija do brzegu, więc łycha i nie ma nas. Jest 17.30 niedziela. Mamy do Przejechania 750 km do Pietropawłowska Kamczackiedo z tego 30 km po asfalcie i przed sobą jeszcze 2 duże przeprawy! Czad, mamy nadzieję, że Sasza nie nudzi się za bardzo z Krychą czekając na nas w Kluczach. Cóż robić zapierdalamy.



Dojeżdżamy na wariata do pierwszej przeprawy w kierunku Kluczy. Promu niet, ludzi niet, Sasza od nas zaledwie 1 km na drugim brzegu. Izi jedzie na most remontowany sprawdzić czy da się przejechać. Okazuje się że to byłoby samobójstwo. Nasze telefony coś nie rabotajet. Z chmur wyłania się Kluczewska Sopka, a nagle z krzaków wychodzi gość z wielkim plecakiem, odganiając od siebie roje komarów. To paraszucista. Mówi że za 30 min będzie prom bo z PKC do UST-Kamczacki jedzie autobus. Widać, że komary nie dają mu żyć, więc częstujemy go sprajem przeciw sukinsynom.

Przeprawiamy się na drugą stronę, gdzie czeka Sasza z Krystyną i jakimś żarciem jest 20.30. Mina Saszy jakaś niewyraźna, z tego co sobie przypominamy, to będą ostatnio w bani w Maternie, nikt z nas się do Krychy nie dobierał. No i słyszymy: - dzwonił Locha z PKC. Mówi, że jutro o 12 musimy być w porcie, żeby dryndy załadować. No k.....a, piknie. Jesteśmy 700 km od PKC, prawie wieczór, a jutro w

południe mamy być w porcie?! Decyzja krótka, jedziemy!!! Bo i co mamy zrobić? Następny statek nie wiadomo kiedy odpłynie do Władywostoku, może za tydzień, może za dwa? Wjeżdżając na stację Izi zagapia się na tubylczą skośnooką piękność i nie zauważam zajebistej dziury, aby się nie wywalić podpierając się nogą wyprowadzając 250kg Africę. W tym momencie już wie że nie jest dobrze. Na stacji nie może już zejść z motocykla. Mówi, że chyba jest kiepsko, skręcone kolano, gacie w kolanie robią się ciasne. Pomagamy zejść z motocykla, na twarzy grymas bólu. Ledwo chodzi, a przed nami jeszcze kawał drogi i coraz mniej czasu. Sasza karze nam jechać, on z Krychą swoim tempem dojadą do PKC.



Jest dobrze po 21.00 jedziemy cały czas w odstępach co najmniej 1km bo kurz jest straszny. Słyszę jak moja babcia nie może już łapać powietrza. Filtr zapchany. Jadąc do w tamtą stronę, jechałem max 70 km/h i wydawało mi się że drynda się rozleci. Teraz pędzuję 110 km/h, czego nie mogę dopaść. Większość dziur w które wjeżdżałem, teraz przelatuję. Modlimy się, żeby tylko opony wytrzymały. Dojeżdżam jednak do przeprawy jakimś cudem i robi się ciemno. Stoi prom na nim tylko wielki pies. Na drugim brzegu rzeki widać, że ktoś też czeka na prom, palą ognisko. Dupa nie popłyniemy już dzisiaj. Izi zbiera drzewo na ognisko, próbuje rozchodzić bolącą nogę, ja szybko rozbieram moto żeby filtry wyczyścić.



A że mam K&N w gaźnikach nie jest to takie proste. Za chwilę przyjeżdża Sasza z Krystyną. Zbierają drewno i robią ognisko, bo Izi już ruszać się nie może całkiem. Zaczynamy myć filtry z rzeki a tu podjeżdża jeep i pada pytanie: płyniecie? jak tak to już. Cholera. Zbieramy plastiki, zbiorniki, śrubki, kanapy i wszystko inne z bagażem włącznie i luzem na prom wrzucamy. Na drugim brzegu wyładunek prędko, bo goście z jeepa tylko kogś tam zabierają i wracają z powrotem. My jednak szczęśliwi że o 24.00 udało się przekroczyć rzekę. Koleś, którego widzieliśmy z drugiego brzegu rzeki, dyfer w aucie już 3 dni naprawia.

Pytamy się czy możemy się rozbić i czy ognisko przeszkadzać nie będzie. Gość na to, że nie ma sprawy tylko o 4.00 zawsze przychodzi niedźwiedź wody się napić i ryb nałapać, ale jak nam to nie przeszkadza to możemy zostać, on osobiście śpi w aucie.



Krystynie się nie uśmiechało spotkać oko w oko niedźwiedzia więc trzeba było nocleg pod dachem znaleźć. Gość z auta mówi że ok. 1km dalej mieszka rybak i może nas przenocuje. Sasza pojechał pogadać z rybakiem a my w tym czasie moto poskładaliśmy. Sasza wrócił rybak nas przenocuje.



Plan taki, że śpimy 2-3 godziny i dalej dzida do PKC aby na prom zdążyć. Przenosimy się więc do rybaka jest już 1.00 idziemy spać w beczce cysternie. Wszędzie tego używają na Syberii komary łatwiej wybić i uszczelnić aby nie wchodziły no i niedźwiedź się tak łatwo nie dobierze.

Teraz w dzienniku pojawiły się dwa wpisy, pierwszy Iziego, krótki, ale pokazujący co czuł Izi

Wstajemy o 4.00 o kurna jest źle. Robert musi mnie ubierać ( o tym aby nie jechać jakoś nikt nie pomyślał) sadzają mnie we dwóch z Saszą na Africę, Kris przynosi kawę, wcieram jakąś maść od rybaka w spuchnięte kolano, spodnie ledwo dają się założyć, rybak przynosi jeszcze jakieś tabletki, zżeram całe opakowanie (może ból minie) popijam kawę, wypalam gandzie, biorę amfę, przywiązują mi sznurek do dzwigni zmiany biegów, wbijają jedynekę i jadę. Za pazuchę schowali jeszcze flaszkę wódki i kazali pić jakby napierdalało bo boli już teraz.

Do kieszeni schowali mi dwa opakowania gazu pieprzowego podarowanego przez Łysola, jakbym się wywalił, złapał gumę i lub coś innego to tylko będę mógł się wywalić z motocyklem i czekać aż do mnie dojadą do tego czasu mam sam się bronić przed niedźwiedziami. Startujemy 4.00-4.30 ciemno jak w dupie, światła świecą mi za wysoko, jadę grawiejką, prędkość 110-120, dziury, noc, mgła, noga, tajga, niedźwiedzie, fajne rzeczy wtedy umysł podpowiada i nieźle się psychą dzieją. Umysł podpowiada że te świecące oczy na granicy światła z afrycy i nicy kamczackiej to mogą być tylko niedźwiedzie ja próbuję mu wytłumaczyć że to na pewno susły bagienne lub inne ale mniejsze cholera.

Chyba już wiem jak czuje się zawodnik rajdu Paryż – Dakar ze złamaną lub skręconą nogą. Drę się na maksa aby ból zagłuszyć, łyżę ciekną chociaż nie chcę, wnoszę modły do Pana Wulkan co by cało chociaż do Miłkowa dojechać (tam 30km asfaltu, tankowanie i mam czekać na Roberta a to 2/5 trasy dopiero). Co mnie zdziwiło to to że jasno dopiero zaczęło sieroć po 8.15. Szczęśliwie dojeżdżam staję pod dystrybutorem o dziwo nie przewracam się powoli tankuję 5,10,15,20, min Roberta nie ma musiało coś się stać ale mamy jeszcze 15min zapasu bo nadrobiliśmy na trasie wmawiam sobie będzie dobrze. Długo by jeszcze opowiadać co się działo

# Dzień 18. Punktualność.

3 rano pobudka. Jakaś kawa, Izi nie może chodzić. Prawie wynosimy go cysterny w której spaliśmy. Widać po jego minie, że nie jest dobrze. Wsadzamy go więc na moto, wrzucamy jedynkę i w drogę. Izi pierwszy, ja drugi, Sasza na końcu. Przed wyjazdem jeszcze pytanie o stan paliwa, bo najbliższa stacja w Miłkowie. Izi ma zbiornik 35 litrów, ja 24. Myślę, że powinno bez problemu starczyć. Ok., spotykamy się na stacji. Sasza mówi żebyśmy jechali i nie czekali na niego. Izi znika w ciemnościach. W miejscu gdzie trochę wiatr rozpędza kurz, widać tylne światło Iziego moto. Ciemno jak w dupie, nie wiem czy to mgła, czy kurz, czy brudne gogle, bo jakoś kiepsko widać. Rozwidnia się, światełka Iziego ni ma... Kurzu po nim też. Mijać go nie mijalem więc pewnie jedł sporo przede mną.

Ja dzida za nim po kilku godzinach patrze na GPS do cpn-u w Miłkach jeszcze jakieś 20 km. Izi musi tam na mnie czekać bo trzeba tankować. Nagle silnik staje. Co jest k...a, klema się poluzowała, prąd jest. Chodzę oglądam i się wkurwiam, że czas leci a ja stoję na środku Kamczatki jak pipa. Nagle coś mnie tknęło. Okazało się że jak skręcałem moto nie podpiąłem kostek od kontrolek rezerwy. Klnę jak szewc. Gdybym jechał z Iziem szybkie spuszczenie kilku litrów załatwiło by sprawę. Nic nie jedzie, czas ucieka. Nagle z za zakrętu wyłania się Kraz zatrzymuję profilaktycznie czy nie ma benzyny. Ni chuja tylko ON. Podjeżdża Łada.

Zatrzymuję i mówię w czym rzecz. 3 dziadków wyskakuje do bagażnika. Wężyk, butelka, spuszcza, okazuje się że kierowca łady urodził się w Użgorodzie. Daje mi 3 litry benzyny. Grzebię po kieszeni Dojeżdżam daję chłopu te 100 rubli które dostałem na przeprawie promowej. Nie chcą, ale doszedłem do wniosku, że ta kasa chyba była właśnie po to. Dojeżdżam do Iziego na CPN. Izi zrobił śniadanie z resztek chleba, pomidorów i kawałka kiełbasy. Tankuję jemy. Iziego sadzam na moto jeden w dół i poszedł. Cały czas 120-130 km/h. Zastanawiam się jak mogę tyle zapitalać, skoro jeszcze 2 dni temu myślałem że 70 – 80 km/h to maks. Co 100km przerwa na

szczocha i papierosa bo zimno, podziwiamy nasze opony, że dają tak świetnie radę. 80km przed PKC pojawia się asfalt. Dolewamy 5 litrów benzyny, co by znów siary nie było. Nagle rogatkach PKC zatrzymuje mnie milicja. Izi jakoś przemknął, a mnie zatrzymali. Jest 10.40. Młody szczył bierze papiery. Łapy mu się trzęsą jak mi po tygodniowym picu, pierwszy raz widzi chyba obcokrajowca. Jak się okazuje później nie wie co z nimi robić. Tłumaczę mu żeby się pospieszył, bo za niecałe 1,5 godziny mamy statek do Władywostoku a muszę być godzinę przed wypłynięciem aby się załadować jeszcze, czyli zostało mi 20 minut. Idzie z papierami do starszego. Ten mnie woła do budki. K..... będą się czepiać. A po co, a do kogo, a dlaczego, a jak. Poprzeglądał kwity, oddał i jedziemy.

W PKC pod domem Saszy jesteśmy punkt 10.55 załadunek ma być w porcie po przeciwnej stronie ulicy czyżby się udało mamy tam być o 11.00. W tym momencie Locha wystawia swoje lico przez okno i gada. Rebiata nada pakuszac i popić jest czas. Ręce mi opadły. Sasza przyjechał później od nas o 6 godzin, powiedział że rekord pobiliśmy i może za 50 lat ktoś go poprawi jak asfalt położą.

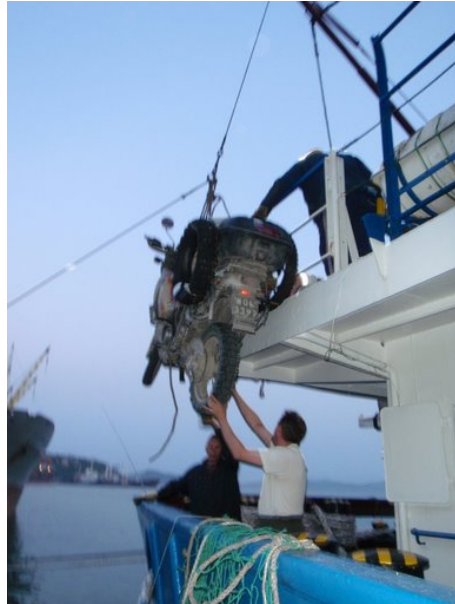


Locha mówi że jednak statek dopiero we wtorek po południu będzie i mamy jeszcze czas. Najważniejsze że dojechaliliśmy cało. Ściągam Iziego z dryndy i odbieram gaz pieprzowy, co dostał na wypadek wyjebki co by się misie odstraszyć. Powoli idziemy odpocząć. Spokojnie zaczynamy się pakować, urządzamy pranie. Po kąpieli jedziemy z Izim i Makssem do portu do kapitana statku Fortuna, żeby się dogadać co

jak i za ile. Kapitan wita nas w swojej kajucie oczywiście wódką, obo siedzi jakaś dziwka. Jestem tak zjebany, że wydaje mi się że po wypiciu 100ml zejdem ale co się nie robi dla dobra sprawy. Pijemy. Gadamy o cenie. On mówi że za człowieka tyle, za ładunek tyle a w ogóle to się dogadamy już na statku. Jutro o 8.00 kazał nam przyjechać z moto. Wracamy do domu. Izi pilnował motocykli w porcie dosłownie jak pies z kulawą nogą bo się nigdzie ruszyć nie mógł. Jako że prom dopiero jutro to robimy porządki, pierzemy rzeczy usuwamy usterki. Walimy się na drzemkę. I oczywiście nagle o 18.00 telefon do Lochy: rebiata prom dzisiaj o 24.00 odpływa.

Zbierać zabawki i do portu. No k...a Rosja. Chłopaki zbierają nasze ciuchy po całym domu brudne, mokre, szukamy aparatów, baterii, pendrajwów i innych dupereli. Lecimy do garażu po moto, opony. Do gararzu przyjeżdża Kola ten co był z nami na Oceanie Spokojnym. Niesie reklamówkę z piwem no cóż najebka. Z garażu wyjeżdżamy o 21.00 jadąc, po drodze wpadamy do sklepu (w końcu przez tydzień mamy pływać po morzach i oceanach). W sklepie zakupy wóda, fajki i wóda. W porcie jesteśmy o 22.00. Statek „FORTUNA”, ładnie brzmi. To mały kontenerowiec, ze stoczni niemieckiej. Kiedyś pływał po Bałtyku.





Chłopaki rozkładają trap szerokości 50cm, bez barierki na wysokości 5m wjeżdżać pada hasło wjazd!! Nie będę pisał, co potem się działo, najważniejsze że dryndy znalazły się na statku, my też. Kierownikiem akcji załadunkowej jest Kola, który już przerabiał ten temat jadę dwa lata temu na Goblin Show.

Motocykle mocujemy linami, podkładamy opony żeby się nie poobijały. Kajutę mamy po kimś z obsługi. Koleś zbiera swoje rzeczy Kierunek się wyprowadza do kajuty obok. Żegnamy się z Lochą, Szaszą, Krystyną, Dimą, Kolą no i samą Kamczatką... Z jednej strony się cieszymy że jeden etap podróży jest już za nami, z drugiej strony trochę przykro wyjeżdżać. Dobrze, że motocykle przywiązane i nie będą nas wozić. Lziego noga ma szansę się poskładać. Kierunek Władywostok!!! Odbijamy równo o 24.00 (czasu PKC) są punktualni jak nigdy.

# Dzień 19 Na statku „Fortuna” nomen omen. Czas –2 godziny od PKC. Przejechane 0km.

O co k... chodzi!

Dowiadujemy się, że od 7.30 do 8.30 jest śniadanie. Izi nastawia budzik co by żarcia nie przegapić. Budzik dzwoni, pełni zapału i z pustymi żołądkami idziemy. Na statku są dwie małe mesy. W każdej TV choć na morzu nie działa. Ale DVD też jest. Wszystko spięte pasami na wypadek większego bujania. Nikogo nie ma. Pijemy herbatę, jemy chleb z masłem wyjętym z lodówki. Nikogo nie ma, czyżby statek widmo? Wracamy do kajuty. Nikogo nie ma? Okazało się, że statek prauje na czasie

Władywostok czyli – 2 godziny, a my na czasie pietropawłowsko kamczackim żyli jeszcze. Wracamy, do kajuty. Za 2 godziny na śniadanie. Pycha. Placuszki drożdżowe, dżem, śmietana, oczywiście ryba też. Obiad kurczak, zupa, ziemniaki, oczywiście ryba też.







Załoga liczy 14 osób, plus starsza pani kucharka. Na statku mamy pralkę, suszarkę, pełen lux. Suszymy więc w suszarce LG ubrania które popraliśmy jeszcze u Saszy. Ocean faktycznie Spokojny, nie buja za bardzo, więc problemów obchód błędnikiem obchód rzyganiem brak. Nieśmiały obchód po statku, potem obiad i sen. Wieczorem puk, puk dwóch z załogi idzie z flaszką co by się poznakomić. Oni jedną mają my drugą mamy impreza się rozkręca.

Potem przychodzi 3 mechanik i ciemno .... ciemno....Jedyną rzeczą która zakłóca nam sen, jest dziwne skrzypienie, oraz samoistne przewracanie się na wyrku w takt przechylania się statku na falach. Wulkany dymią dalej.



# Dzień 20.

Na statku drugi dzień, zaczynamy się przyzwyczajać. Jest fajnie, dupa odpoczywa, wachy nie trza lać, jarać można kiedy się chce, spać też. Życ nie umierać! Nocne skrzypienie zlokalizowane, kawałek papieru toaletowego załatwił sprawę. Drzwi od szafy się nie domykały.

Plan dnia wygląda tak:

7.30-8.30 śniadanie

12.30-13.30 obiad

15.30-16.30 herbatka

19.30-20.30 kolacja

reszta to spanie, czytanie ruskich starych gazet, gadki z panienkami z szafy.

Pierwszy raz widzimy delfiny. Na 18-19 godzinę jest zapowiedziana rybałka (czyli łowienie na wędki i inne wynalazki ryb). Mają ponoć fajne miejsce do połowu.

Rano wychodzimy na pokład. Słońce, czyste niebo, ocean jak tafla szkła. Chłopaki coś działają. Okazało się, że z nudów i z chęci powiększenia swoich dochodów ścierają ikrę, ważą, pakują w słoiki. Potem na handel. Chłopaki zapraszają na konsumpcję.





A to właśnie koleś co nas odwiedzili z wieczora



Nagle przychodzi kapitan (ten, z którym w dzień wyjazdu załatwiliśmy transport) i zaprasza nas na mostek. Na mostku, wyciąga mapy i gada, że jednak nie płyniemy do Władywostoku, tylko najpierw na Sachalin, zrzucić 2 kontenery, a potem do portu Wanino i możemy wysiąść albo tu, albo tu. Zajebicie. Gdzie to kurwa jest? Palimy głupa, że nam to nie po drodze, że tam koledzy na nas czekają. Kończy się woda. Popatrzymy na mapę gdzie to Wanino, że to straszne i w ogóle że damy znać później. Patrzymy na mapę.

Wanino znalezione, niedaleko od niego jest Konsomolsk nad Amurem, a tam już BAM. W planach oczywiście mieliśmy do przejechania BAM, tyle że od Tyndy w kierunku Siewierobajkalska czyli na północ nad Bajkałem. W sumie, to czemu nie pojechać tędy? Nie słyszeliśmy żeby ktoś ten odcinek przejechał. Idziemy ponarzekać do kapitana, że to walenie w ch...a, że musi coś z ceną zrobić. Wyjścia

za dużego nie było. Płyniemy do Wanino, bo jak wysiadziemy na Sachalinie to i tak musimy przejechać przez całą wyspę z południa na północ i szukać statku. Niby kiedyś ktoś próbował połączyć Sachalin ze stałym lądem, ale głównie z tego wyszło. Wszyscy nas ostrzegają przed tamtejszą ludnością, że napadają i takie tam. Byliśmy w straszny szoku, odstresowanie było nie uniknione



Wieczorem płyniemy na rybakę łowić ryby, ale poza jedną żółto brązową rybą nic nie udaje się złapać. Po kolacji opróżniamy zapasy, które poczyniliśmy w PKC. Ja o 2.00 idę spać a Izi pisze dziennik. W nocy poszedł na szczocho i przyniósł ptaka, ale nie swojego tylko cudzego. Wpuścił mi go do łóżka zabawnie było, nie wiedział co traci 😊



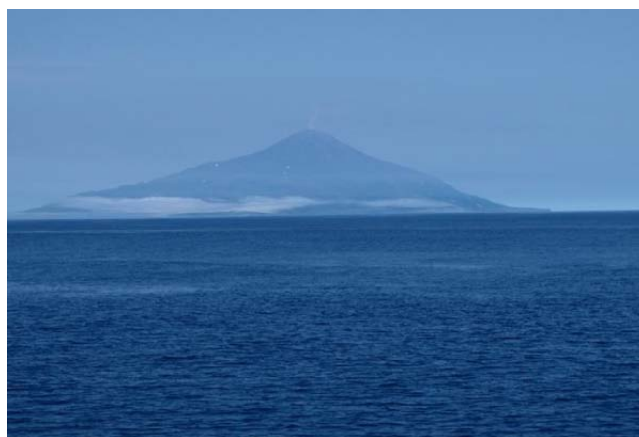
A oto sprawca wicznego zamieszania. Miła, prawda? 🤔

# Dzień 21

Rano dowiedzieliśmy się, że te ptaki przylatują na statek, żeby już zakończyć swój żywot. Chcieliśmy go upiec, ale był za stary, więc wyleciał za burtę. Jak zwykle rano śniadanie, a za 5 godzin obiad. Idziemy oglądać dryndy. Wszędzie rdza.



Po drodze widać jedną z wysp wulkanicznych na kurylach Mutua czy jakoś tak.





Co jakiś czas pomiędzy drzemką, wychodzimy na pokład z GPS-em, sprawdzić naszą pozycję, co by nas na Czukotkę czasem nie chcieli wywieść. Łazimy po statku, oglądamy na DVD filmy z przeprawy chłopaków z Kwadratowe Koleso.

W końcu umawiamy się na randkę z kolejną panią, którą mamy przyklejoną na ścianie. Ja tam z randki zadowolony byłem, Izi chyba nie bo odchodzi od zmysłów i o 10.43 proponuje 100ml wody. Nie wiem jak, ale załatwia sobie ptaszka na pocieszenie. Została nam tylko ta 50-cio procentowa. Oczywiście przyjmuję propozycję z radością i niebywałym wzruszeniem.



Za 1,5 dnia będziemy na Sachalinie to się uzupełni zapasy. Płyniemy na Sachalin kończy się wódka.

# Dzień 22. (01.08.2008) Dzisiaj

## Sachalin.

Dziś dopływamy do portu Korsakow na Sachalinie. Ma być szybki rozładunek i dalej do portu Wanino. Tam się zrzucimy. Jest 15.30 Izi przespał cały dzień. Mapę Rosji znamy już na pamięć. Każdą wiochę na BAMie która była przy torach, każdą odległość od wioski do wioski, każdą stronę atlasu gdzie była zaznaczona trasa przejazdu.

Z kolanem Iziego co raz lepiej. Czytam już drugi raz z nudów forumowy kalendarz, są ciekawe rzeczy na dole każdej strony. Mam nadzieję, że w porcie będzie zasięg GSM, to się smsy odczyta i coś napisze. A gołe babki na ścianach kajuty śmieją się nadal. Dopłyneliśmy o 18.30, rozładunek, a o 21.30 wypływamy. Niestety w porcie nie dało się zejść ze statku, więc zakupów brak. Na brzegu widać ogromne zbiorniki na paliwo, stoją statki załadowane samochodami osobowymi.

Z nudów golimy gęby po dwa razy dziennie. Ileż można łazić po pokładzie? Wszędzie woda i nic więcej. Nudy, nudy!!! Wieczorem pierwsza gandzia od Saszy, bo jakoś łapy nam się trzęsą i idziemy spać.



Wpływamy do zatoki



## Dzień 23. Wanino? Jeszcze nie.

O 8.00 pobudka szybkie śniadanie (były jaja). W drodze do kajuty dowiadujemy się, że płynimy jeszcze do Svielaya. Po co? Okazuje się, że sztorm czy tam cyklon idzie znad Tajwanu, a że nasza krypa mała, to płynimy się schować w tym porcie. Kapitan jest ostrożny. Mówią, że w Wanino będziemy jutro. Skoro będzie wiało z nad Tajwanu, to może jakieś Tajki nam przywieje, no i pytanie tylko jak długo będzie sztorm i kiedy wypłyniemy. Dziś ma być zaplanowana od 3 dni przepierka, jedyne nasze zajęcie.

Pranie robimy z namaszczaniem, skarpety po skarpecie, slipy po slipach. Ach, jak dobrze mieć co robić! Fajnie wyglądaliśmy stojąc okrakiem nad pralką, w celu utrzymania się na nogach. Po włączeniu GPS-a okazało się że jednak płynimy do Wanino. Na początku sztormu trochę bujało, ale przecz my zaprawieni w boju, jak na razie bez tragedii (jest 19.15) więc idziemy na kolację. Idąc już na nią, odbijamy się od ściany do ściany. Zastanawiamy się, czy warto iść jeść. Bo co, jak zaczniemy rzygać, to gdzie? Przez burtę żeby wypaść? Spakowaliśmy już torby i czekamy w blokach startowych na ciąg dalszy. Nuda, nie ma już co robić.

Ze wszystkimi kobietami z plakatów, którymi była obklejona kajuta, już się spotkaliśmy. Zaczynamy dostawać głupawki.

# Dzień 24. Spierdalać. Przejechane 350km

Pobudka o 7.15. Pogoda super, widać ląd. Rano mieliśmy jeszcze 28km do Wanino. Nadal nie wiemy ile zapłacimy, ale plan i posegregowana kasa jest. No i pytanie jak i jak długo będziemy wydostawać się z portu. Grunt to SPIERDALAĆ jak najdalej od morza. Jak dobiliśmy do portu, podjechał koleś autem i zaczął gadkę z kapitanem. Coś gadają, kapitan pokazuje na nas paluchem. Chłopaki odpalają dźwig, co by motocykle zrzucić na dół. Na pierwszy ogień idzie jak zwykle moja drynda.



Nie wiedzieć dlaczego, ale widać że Izi jest lekko zszokowany, jakoś trzęsie się cały. Czega jak czego, ale byłem pewien na 100%, że to nie ze strachu o rozładunek, tylko z braku alkoholu. Chcieliśmy jak najszybciej się napić, bo twarde i stały ląd pod nogami jakoś dziwnie na nas działał. Były problemy z błędnikiem. Motocykle szybko i sprawnie znalazły się na lądzie. Koleś mówi, że mamy 10 min, żeby wyjechać z portu i uniknąć kontroli celnej. Mamy jechać za nim. Jedziemy przez cały port, żeby w końcu wyjechać przez dziurę w płocie. Dziura była wielkości prawie statku którym płynęliśmy, a co najmniej składu kolejowego. Plan taki, żeby poczynić zakupy i jechać w kierunku Komsomolska. Wiedzieliśmy, że nie damy rady za jednym zamachem, ale chcieliśmy dojechać jak najdalej.



Z Wanino prowadził piękny i równy asfalt. Droga była nie dawno budowana, bo na jednej mapie była, a na drugiej nie. Szczęście nie trwało długo. Asfalt się skończył po 90 km, a zaczął plac budowy. Droga prowadziła przez górki, była kręta, kamienista, błotnista, wodnista, śliska, piaszczysta, bagienna i ch...j wie jaka jeszcze. W oddali było widać nadchodzący kataklizm. Czarna chmura, w kierunku której jechaliśmy. Zaczęło padać, ruch mały. Zakładamy kondony.

Na Kamczatce, jak był droga, to szeroka, a tu jakoś wąsko. Nagle jest asfalt! Radość, która nie trwała wiecznie, bo szybko się skończył. Dziwny system budowanie mają. Skoro od wiochy czy miasta kładą asfalt to niech kładą do kolejnej miejsciny, a nie w środku tajgi i czarnej dupy, dookoła której nic nie ma! No, ale to w końcu Rosja, więc nada wybaczyć i zrozumieć. Deszcz zamienia się w ulewę. Nagle przez drogę przepływa potok szerokości 200 m. Płytko i w miarę równo, więc bez problemu przejeżdżamy. Będąc na środku potoku widzimy ciężarówkę z naczepą, która ma załadowaną koparkę. Niby nic dziwnego, gdyby nie fakt, że ciężarówka z owym ładunkiem leży na boku. Nie wiemy co kierowca chciał zrobić, ale tak czy siak przedobrzył.



Pada, cały czas, robi się ciemno, droga teraz tylko piaszczysta i wymyta przez deszcz. Ciężarówki jadą jedna za drugą w żółwym tempie. Wąsko, kręto, ślisko i wszędzie kałuże. Nagle wjazd na asfalt. Jest już noc, chcemy dojechać do jakiegoś miasteczka, kupić zapasy i znaleźć nocleg.

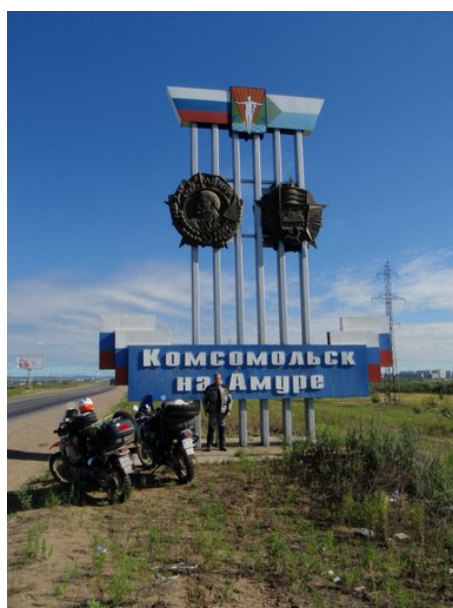
W oddali było już widać jakąś miejscinę, mijamy 2 stacje paliwowe, gdy nagle zatrzymuje nas milicjant do kontroli. Procedura, wyjęcia dokumentów trochę przydługawa, bo poubierani jesteśmy. Kasy oczywiście nie chciał. Musimy zatankować i przy okazji chcemy zapytać o nocleg. Stacja dobrze zaopatrzona w piwo, czekolady, chipsy i fajki. Zagadujemy babkę, czy możemy położyć się z tyłu stacji. Kobiątka problemów nie robiła. Ustawiamy dryndy, tak, żeby iziteneta rozłożyć, bo cały czas siąpi deszcz.

Pod izitentem jak zwykle karimata i śpiwór. Na kolację piwo, czekolada i chipsy krabowe. Kładziemy się spać. Na jutro jeden cel, wbić się w końcu w BAM!!

# Dzień 25. Do Komsomolska na Amurze. Przejechane 524km.

Rano o 7 pobudka. Zwijanie maneli i drogę. Na śniadanie nic nie mamy, ale planujemy się zatrzymać w jakiejś przydrożnej knajpie. Ruszamy. Krajobraz po drodze taki, że wystają kikuty spalonych drzew, większości brzoźowych. Widać, że pożar dość dawno strawił las, bo pod drzewami rosną już jakieś krzewy, ale normalnych drzew nie widać. Cały czas asfalt, zimno jak cholera, bo dopiero słońce wschodzi.

Zatrzymujemy się w jakimś barze, bierzemy po szaszłyku, zupie i kawie. Ruch jest większy. Dojeżdżając do Komsomolska, widać zajebiście wielką rzekę Amur i jeszcze bardziej wielki stalowy most, który prowadzi do miasta. Zatrzymujemy się przed wjazdem na niego, co by parę fotek zrobić, gdy nagle z megafonów słychać głos, że nie można się zatrzymywać, szybko jechać, jechać. Na początku i końcu mostu, wieżyczki strażnicze, wszędzie drut kolczasty, zasieki i kamery, trochę worków z piaskiem. Pamiątkowa fota pod postumentem, kupa trochę dalej od postumentu i wjeżdżamy do miasta.



Tankujemy na stacji, która przypomina nasz ORLEN, można se w niej kupić piwko, lodzika, czekoladkę, cigarety, ale najlepsze ekspedientki. Krótka zabawka i jakoś nie chce się jechać dalej. Miasto całkiem ładne, chyba bardziej cywilizowane od PKC. Nie ma takiej szarości budynków. Szukamy drogi, która będzie naszą jedyną drogą przez nie za bardzo określony czas.

Robimy od razu zakupy, co by później nie było niespodzianek. W oddali było widać trakcję elektryczną, więc kierujemy się w jej stronę. Droga jest najpierw asfaltowa, potem zaczyna się płytowa, coś ala kiedyś A4, a później grawiejka. Jeśli tak ma ona wyglądać na całej swojej długości, to będzie git! Jadąc tory kolejowe, mamy a to z lewej strony, a to od czasu do czasu przejeżdżamy przez nie i mamy z prawej.



Kiedy zatrzymujemy się na pewnym przejeździe, ze 100 m od nas stoi dworzec. Pusto, żywej duszy. Nagle z megafonów słychać, jak babka zapowiada nadjeżdżający pociąg. Tylko dla kogo te informacje, jak nikogo nie ma, a wioski jakoś też w pobliżu nie było? Jedziemy i zastanawiamy się jak uda nam się przejechać przez strzeżony most na rzece Amgun, most przez który nie przejechał terenówką Mario. Kiedy byliśmy w porcie na Sachalinie, wysłał nam smsa, do którego miejsca dojechał.

Mamy uknuty plan, co i jak gadać z ochroniarzami, żeby jednak nas przepuścili. Według mapy mieliśmy tam ok. 300 km. Dojeżdżamy do miejscowości Berezowyj, a po drodze do swojsko zwanej dziury



i zjeżdżamy na stację. Kobitka w okienku informuje nas, że nie dalej jak miesiąc temu, jechał tędy Niemiec na BMW, tylko nie wie po co, skoro dalej droga jest, ale fatalna, a po 100 km, już jej nie ma. Na pytanie czy widziała go wracającego, mówi że nie. Wyjeżdżając z wioski, droga robi się wąska, zamiast grawiejki, jest usypana większymi ubitymi kamieniami, na której trzęsie jak cholera. Potem robi się typowa leśna droga. Nie ma tragedii, trochę kałuż, błotka, ale bez dramatów.



Przed nami wioska Dżamki, to za nią jest chroniony most. W Dżamkach kupujemy wódeczność, jakieś żarcie i słoik soku brzoźowego. Ludzie mówią, że na rzece jest wysoka woda, i nie damy rady przejechać, a przez most nas nie przepuszczą. Jedziemy jakieś 5 km lasem, droga wygląda jak leśna ścieżka i nagle widzimy kilka ciężarówek, które stoją na brzegu rzeki, a po naszej prawej most!



Widać na rzece, że chyba stawiają most, bo stoją betonowe słupy. Idziemy do kierowców aut. Z tego co widać, to żyją tak jak by byli na biwaku, ognisko, żarełko z menażek, suszące się ciuchy.

Okazało się że siedzą tutaj już 4 dni i nie mogą przejechać przez rzekę, gdyż jest za wysoki poziom wody. Z ich obserwacji wynika, że posiedzą jeszcze z następne 3 – 4 dni aż woda opadnie. A most drogowy robią od 4 lat, tylko na raty bo problem z kasą.







Dobra, pierwsza zonk przed nami w formie mostu. Idziemy gadać ze strażnikami. Zbocze na którym jest most, wyłożone betonowymi płytami, na długiej stalowej lince biega wielki uwiązany pies. A dojście do strefy „0” jest zablokowany szlabanem z kolcami. Oczywiście druty kolczaste, kamery i megafony. Nagle rozlega się głos: Ochronnaja zona, paszli rebiata”! Na oko widać że długi jest na jakieś 150m. Obserwujemy jak można na niego wjechać.

Trochę stromo jest, ale beton suchy. Z drugiej strony mostu ktoś idzie. Było to strażnik. Podszedł do nas, a my mu zaplanowaną śpiewkę. Proponujemy moskiewski koniaczek, ale niestety służba nie pozwala. Karze nam poczekać, aż będzie naczelnik, to wtedy pogadamy. Idziemy razem z nim zobaczyć jak wygląda most tam gdzie tory. Tragedii nie ma, da się przejechać, tylko trzeba pomocy żeby przerzucić motocykle przez szyny, bo cholery wysokie. Chłopaki z ciężarówek, zapraszają nas na jedzenie. Widać że są nie źle zaopatrzeni. Takie sytuacje wrażenia na nich nie robią, tak często bywa, że rzeka wylewa i nie da się jechać.

Każdy ma telefon satelitarny, więc kontakt z szefem jest. Bierzymy flaszkę i idziemy do nich. Pytają skąd i gdzie jedziemy, pokazujemy na mapie. Jeden mówi że się chyba nie da, drugi mówi że trzeba jechać tędy, trzeci że nie tędy co ten drugi mówi, bo tam drogi nie ma. Jeżdżą, a nie wiedzą co za górką jest. Nagle przychodzi strażnik, koniaczku już nie odmawia. Mówi, żebyśmy się zbierali, i przerzucali się na drugą stronę!!! Jes, jes, jes!!! Kontrolnie strażnik gdzieś dzwoni, z pytaniem czy nie

pojedzie nagle pociąg. Chłopaki pomagają z motocyklami, przenosimy bagaże. K....a udało się!! Strażnik jeszcze nas pyta, gdzie chcemy spać. My, że bele gdzie, mamy namioty, śpiwory itd. Proponuje nam, że możemy spać w byłym małym domku, w którym kiedyś dawno temu był dróżnik.

Domek stoi w odległości 2 metrów od torów. Jedyny mankament mówi, to przejeżdżające w nocy pociągi. Też mi problem....Zadowoleni jak cholera, bierzemy kolejną flaszkę i do kierowców. Gadka, szmatka, ale do spania trzeba iść. Nie źle wstawieni, kładziemy się w śpiwory. Zastanawiamy się co przyniesie jutrzejszy dzień.

Co dalej jest za mostem? Nie wiemy.

## Dzień 26. Przejechane 61km.

W nocy przejechały trzy pociągi. Jakoś przed wjazdem przez most nie zwalniają. Myśleliśmy że buda w której spaliśmy się rozleci. Rano, kiedy idę się odlać, widzę coś dziwnego. Śpiąc w koszulce z krótkim rękawem, zostałem pogryziony przez sukinsynów. Moja lewa ręka od łokcia w dół, usiana jest bąblami. Nie wiem ile ich jest, ale jeden obok drugiego. Nie wiem czy dałoby radę znaleźć jeszcze jakieś wolne miejsce. Próbuję tego nie drapać. Pakujemy rzeczy, żegnamy się z kierowcami, życząc sobie nawzajem powodzenia. Wychodząc z „hotelu”, podchodzi do nas strażnik i zaprasza na herbatę. Z pozostałymi tobołami, przechodzimy na drugą stronę, nie chcemy już zawracać. Zastanawiamy się co będzie tam dalej. Strażnik robi herbatę, wyciąga ciastka, sało i chleb. Jemy powoli, bo jakoś nie możemy się zebrać do dalszej jazdy. Patrzymy jeden na drugiego, z nadzieją że żaden z nas się za szybko nie wychyli i nie powie: dobra, jedziemy. Ile można wypić tej herbaty, po drugiej próbujemy wstać i jechać.

Pogoda do dupy, pochmurno i zaczyna kropić. Ale co, ładujemy się na dryndy i w drogę. Strażnik mówi, że za jakieś 5 km, czeka nas przejazd przez rzekę i w ogóle to się nam dziwi że jedziemy dalej. Ostrzega, że będzie ciężko, droga jest trudna, I są rzeki pewnie głębokie, bo od kilku dni na zachodzie pada. Wyjeżdżamy wąską dróżką, i wbijamy się w drogę. Zaczyna lać, ale nie zanosi się żeby przestało. Przed nami most, a pod nim rzeka. Nie była za duża, po prawej stronie most. Schodzimy z motocykli, co by obadać jak wygląda. Wchodzimy mniej więcej do połowy. Widać kamienie, woda sięga do kolan, więc dzida do przodu. Od czasu do czasu widać, jak motocykl zagłębia się w wodzie. Kamienie co raz większe. Oby tylko kiery nie wyrwało! Widzę, że Iziego rzuca na wszystkie strony, wydech pod wodą, wywala szprycę wody. Jest już prawie na brzegu.

Wydawałoby się, że prąd słaby, ale czuć jak woda zaczyna napierać, ściąga na prawo. W dniu było zagłębienie, czuję jak motocykl zaczyna się topić. Czuję że woda

sięga kolan. Dyszę jak zarzynana świnia, zapomniałem zdjąć gogli, które teraz są zaparowane. Nic nie widzę, jadę na ślepo. Gazu, gazu, nie zatrzymuj się, i staraj się żeby drynda nie zgasła! Izi czekał na brzegu klnąc jak szewc. Jakoś poszło. Mamy nadzieję, że to o tej rzece mówił strażnik. Przejeżdżamy z 10 km i co...? Kolejna rzeka, kolejny most. Tym razem chyba też łatwo nie będzie.



Łazimy, patrząc którędy da się przez nią przejechać. Ma ok. 40 m szerokości, nurt szybki. Miejscami jest głęboko. Jak znajdziesz możliwość przejazdu na  $\frac{3}{4}$  jej szerokości, to potem okazuje się że  $\frac{1}{4}$  nie przejedziesz, bo jest głęboko. Po moście drogowym, jakimkolwiek, śladu brak. Bywały stare drewniane, lekko zdezelowane, ale były. Obok jest most kolejowy. Próbujemy zobaczyć jak da się na niego wjechać. Przedzieramy się przez krzaki. Żeby na niego się dostać, trzeba pokonać nasyp z luźnych kamieni.

Wjeżdżając między szyny, można szybko przejechać na drugą stronę. Dobra, wjechać się da, przejechać też, ale jak zjechać? Na końcu mostu jest zjazd schodami betonowymi, które są całe pokruszone ze starości. W miejscu gdzie się kończą, na nasypie leżą ułożone płyty betonowe, porośnięte mchem, śliskie, że zjeżdżaliśmy z niej jak na nartach. Dalej już szukamy możliwości powrotu na drogę. Deszcz pada cały czas. Dookoła cisza, słychać tylko padający deszcz. Decyzja, próbujemy mostem, najpierw jeden motocykl, potem drugi. Izi za kierownicą, ja z tyłu pcham na nasyp. Rzuca we wszystkie strony, ale wjechał. Patrzymy, czy nie jedzie pociąg, ale cisza. Z trudem przepychamy przednie koło przez szynę, ale z tylnym już jest problem! Szerokość torów jest taka, że gdy motocykl jest prostopadle to szyn, to w

momencie jak tył próbuje wjechać, to przód opiera się o zewnętrzną szynę. K...a udało się. But i do zjazdu na końcu mostu. Ale o co chodzi?! Nie możemy wyciągnąć dryndy z szyn, ślizga się we wszystkie strony, patrzymy a to w lewo, a to w prawo czy oby pociąg nie nagina. Klniemy po nosem. Prostopadle się nie da, bo jest nasyp, jak przód wyjedzie, a tył dojeżdża do szyny, to znowu przednie koło zwisa z nasypu (nie wiem ). Trzeba bokiem, koło się ślizga. W końcu się 9czy wiecie o co chodzi udaje! Powoli zjeżdżamy ze schodów. Beton się sypie. Tyle ile się da, skręcamy kierownicą, resztę nadrabiamy zarzucając tyłem.



Przed zjazdem z betonowej płyty, zamykamy oczy i niech się dzieje co chce! Dobra, jeden poszedł. Czas operacyjny na przetransportowanie jednej dryndy to ok. 40 min. Wracamy po drugi sprzęt. Tym razem, chcemy uniknąć pałowania z przerzucaniem motocykla przez tory, więc jedziemy tuż przy szynie.



Dalej jakoś poszło, czyli schody i zjazd po płycie. Wszystko mamy mokre, część od deszczu, a resztę o potu. Leje, więc rozkładamy izitenta i ładujemy się pod niego, czekając aż trochę przejdzie. Ale niestety jak lało, tak leje. Decydujemy się jechać dalej, musi w końcu przestać. Droga makabryczna, błoto, kałuże, dziury, powywracane drzewa.

Zastanawiamy się, jak chłopaki z ciężarówek mogą jechać taką drogą! Wyglądała, jak leśna ścieżka, gałęzie wisały tuż nad naszymi głowami, było wąsko. Widać, że chyba nic tu ostatnio nie jechało. Walka!!! Byle do przodu, gdzieś cywilizacja być musi. Zaczyna się wypogadzać, przestaje padać, widać w oddali słońce. Jak miło.... Było by, gdyby nie kolejna rzeka. Na szczęście są wypłyenia. Początek rzeki przejeżdżamy więcej ciuchach.





Miejscami więcej wody, ale bez dramatu. Na wypłyceciu leżą naniesione drzewa, gałęzie. Widać, że kiedyś był tutaj drewniany most drogowy. Ściągamy buty, spodnie i zakładamy sandały w technologii rejli. Było fajnie, rzeka nie przerażała, ale w miejscu gdzie powinna zaczynać się droga, była wielka kałuża, z zamulonym dnem. Leżały w niej jakieś syfy, kłody, kamienie. Środkiem nie da rady przez nią przejechać, bo głęboko i dno bagienne, po prostu wciąga.

Bokiem trochę lepiej, ale zapadasz się w błocie po kolana. Ale co, jedziemy. Przez rzeczkę na kołach, a przez kałużę, ciągniemy za przednie koło, bo pchanie gówno daje. Delikatnie gaz i sprzęgło, inaczej koło zapada się momentalnie. Nad głowami słysząc sukinsyny, gryzą jak wściekłe. Na dodatek przylatują sukinsyny w formie mini, i jakieś maxi. Wielkością przypominają ważki. Nie wiesz co robić, wyciągać motocykl, czy się od nich odganiać. Brakuje tylko, żeby w tej wodzie były pijawki wielkości szczupaka! Nogi i dupa w wodzie, w czoła pot.



Zrobiło się gorąco. Jechać się nie chce, ale co robić. Miejmy nadzieję, że to już ostatnia przeprawa. Powoli po dziurach, wymytej piaszczystej drodze jedziemy do przodu. 5 km/h, max 10. Dojeżdżamy do jakiejś wioski, parę chałup na krzyż.



Gdy nagle podjeżdża do nas dwóch chłopaków, tak na oko po 10 lat na Iż Planeta!. Mówią że zaraz jest kolejna rzeka i most kolejowy. Nie no, chyba jaja se robią. Jedziemy zobaczyć jak wygląda ta rzeka. Kopara nam opadła, jak zobaczyliśmy jak ona wygląda. Nie dość że dna w ogóle nie widać, woda zapitała jak szalona, to jeszcze ma jakieś 300 m szerokości. Pytamy jak można dojechać do mostu. Oczywiście nas podprowadzili. Tyle że za bardzo nie ma jak na niego wjechać. Jak ostatnio zjeżdżaliśmy z płyt betonowych to prostopadle do nich, a teraz trzeba jechać równolegle. Jeden głupi ruch, i lecis na dół 20 m. Opcja zajebista. Z jednej strony drzewa i krzaki a z drugiej skarpa.

Ale nic, sprzątamy sobie drogę z kamieni i gałęzi. Trzeba zrobić, tak, że wbijasz jeden i gaz!!! Bo jak cię letko zachwieje na lewo, to polecisz w krzaki, ale jak w prawo to żegnaj, po tobie. Jak myśleli, tak zrobili p....a i na gaz. Udało się. Żeby nie było tak łatwo, to okazało się że po moście można przejechać, ale tylko pakując motocykle między szyny..... Nie no, znowu... Bokiem nie da rady, wszędzie wystające śruby, i szczeliny takie na 30 cm. Jak przednie koło wpadnie to może się zatrzyma na tarczy hamulcowej, a może dopiero na kierownicy. Wydaje się, że raczej to drugie. Pytamy chłopaków, kiedy ostatnio jechał pociąg.

Mówią, że ze 3 godziny temu. Należy się więc spodziewać, że lada chwila pojedzie. Nie czekamy, bo strata czasu. Próbujemy wykombinować jakiś sposób, żeby je



przerzucić przez szynę. Przednie koło to nie problem, ale tył nie chce wjechać. Ślizga się, motocykl się kładzie na bok. W końcu udaje się. Zjazd z mostu był stromy i po luźnym tłuczniu. Darujemy sobie na razie zjeżdżanie na dół, tylko kładziemy moto na skarpie i idziemy po drugie. Przejeżdżając drugim motocyklem, widzimy że rzeką pod mostem jedzie jakaś ciężarówka.

Dojeżdżając do brzegu jakoś znosi jej tył. Widać, że dobrze że nie pchaliśmy się przez wodę. Z auta wyskakuje gość. Przypomina nam skrzata. Mały, uszy odstające, dziwna czapka. Widział nas jak jechaliśmy przez wioskę. Zaprasza do domu. Mówi że ma ogródek, świeże, trochę mięsa co ostatnio upolował. Opowiada, że ściągnięto go z Krasnojarska do budowy BAM-u. Spędził na budowie 7 lat i został już tu. Siedzę nad brzegiem rzeki i nabieram wodę do butelki. Zmęczenie powoduje, że ciśnienie chce mi rozsadzić łeb. Zawsze staramy się żeby było coś do picia. Koleś mówi, że przed nami jeszcze jedna rzeka, ale nie za duża a przy okazji pokazuje, że 400 m dalej jadąc wzdłuż torów, jest lepszy zjazd do drogi. Faktycznie, był. Jedziemy dalej, nic lepiej. Dziura za dziurą, kałuża za kałużą, zakręt za zakrętem. Czuć zmęczenie. Po chwili widzimy rzekę, o której mówił gość.

Teraz to już nie przelewki. Od razu widać, że jest inna niż pozostałe, przez które przejeżdżaliśmy. Woda spokojna, przypomina bardziej staw niż rzekę, porozlewana we wszystkie strony, jest koloru brązowego. Pływają w niej jakieś męty, zdechłe robale. Wdziera się na 50 m w głąb drogi. Siadamy na pniu zwalonego drzewa, rozbieramy się z ciuchów. Zakładamy sandały, bierzemy po kiju i do wody. Chodzimy raz w jedną, raz w drugą. Im dalej w głąb wody, tym głębiej. Woda sięga już powyżej pępka. Nie da rady przejechać.

Za głęboko. Po lewej stronie widać BAM, idziemy zbadać możliwość wjazdu na tory i przejazdu mostem. Znow kombinacje z wjazdem. Stromo i kamienście. Wchodzimy na drogę kolejową i idziemy wypatrując jakiegoś zjazdu. Nie daleko widać przy torach mały domek. Ogrzewają się w nim zimą ekipy remontowe kolei. Jako że było już późno, planujemy tam spać. Drzwi otwarte, w środku drewniany stół, ławka i stalowy piec, jedno okno z wybitą szybą. Widać, że od dawna nikogo tu nie było. Przechodzimy 100, 200, 300, 500, 1200, 2000 m. Coś jest. Była to może nawet nie

ścieżka, ale kawałek wolnej od krzaków i drzew przestrzeni, szerokości 1 m. Dochodzimy do drogi. Trzeba przejechać tylko przez rów i będzie dobrze. Wracamy, na miejscu zjazdu kładziemy na podkładzie kolejowym kamień, co by wiedzieć gdzie zjeżdżać. Gdy weszliśmy z powrotem na tory i szliśmy do swoich kłopotów, usłyszeliśmy silnik. To musiała być ciężarówka.

Biegniemy co sił w nogach, żeby dopaść ją na drodze. Niestety, gdy wyszliśmy z wody, było tylko czuć smród spalin, widać ślady kół. Motocykle, które zostawiliśmy na drodze i swoje rzeczy, były przełożone tak, żeby auto mogło przejechać. Nic nie zginęło. Pakujemy się na moto i jedziemy do drewnianego domku. Komary wpięprzają jak szalone. Sprzątamy trochę i rozkładamy śpiwory na podłodze. Zbieramy chrust na ognisko, żeby się wysuszyć i ewentualnie odstraszyć niedźwiedzie. Jako że nie mamy wody, bierzemy tę jedyną kolorze brązowym, w której pływało pół tablicy Mendelejewa. Jak się przegotuje ją ze trzy razy, będzie dobra. Planujemy jakoś jutrzejszy dzień, o ile można tu coś zaplanować.

Zastanawiamy się, jak można taką drogę nanieść na mapę i to w kolorze złotym! Każdą przeprawę, most czy zasadzkę zaznaczamy w GPS. Będzie dla potomnych. Palimy ognicho, suszymy rzeczy, pijemy kawę z robalami z nadzieją, że jutro będzie lepiej, bo gorzej już chyba być nie może.

# Dzień 27. Przejechane 297km.

Pobudkę robimy o 7 00. Zaprawieni w pakowaniu, szybko zwijamy manele i nasłuchujemy, kiedy przejedzie pociąg. Byliśmy tak zjebani, że nie słyszeliśmy w nocy żadnego przejeżdżającego żelastwa. Piżdzi strasznie. Do żarcia nic, wody brak, nawet kawy nie ma z czego zrobić. Smarujemy łańcuchy i nasłuchujemy. Coś jedzie.... dryndy ustawiamy już do wyjazdu. Plan ustalony, zjazd znaleziony. Sprawa wydaje się prosta, wjechać, przejechać ponad kilometr nie wyjebując się przy tym z nasypu. Nasyp czasem szeroki i płytki, czasem wąski że koło zaczyna wskakiwać na podkład a skarpa pokażnej głębokości. Jak zwykle pociąg poszedł pełnym ogniem, wjeżdżamy i DZIDA!!!

Jedziemy wypatrując małego kamienia leżącego na podkładzie, którego wczoraj położyliśmy. Wskazuje nam miejsce zjazdu. Obyło się bez problemów. Zjeżdżamy z nasypu, przejeżdżamy jeszcze przez kawałek lasu i widzimy już naszą drogę. Ale żeby nie było za łatwo i to z samego rana, okazało się, że przy wyjeździe z lasu przy samej drodze jest rów głębokości 1 m z błoćkiem w środku. Zaspani, męczymy się żeby go przejechać. K...a, droga na wyciągnięcie ręki a my się tu produkujemy. Wpychamy moto po śliskiej trawie, gdy nagle zarzuca dryndą, która wpada równolegle do rowu. Zassało ją po ośki. Ani ją ruszyć w jedną ani w drugą. Szukamy jakiejś kłody, co by podłożyć pod osłonę i kombinować dalej. W końcu udało się wygrzebać z rowu. Idąc wzdłuż drogi szukamy lepszej możliwości wjazdu. W końcu ją znajdujemy, rów płytki, tyle żeby tam dotrzeć trzeba wykosić kilka drzewek.

Droga okazuje się być zaskakująco dobra! Możemy w końcu rozpędzić się do magicznych 30 – 40 km/h. Kilometry uciekają a my się cieszymy, że możemy sobie od czasu do czasu pozwolić na wrzucenie 3 biegu. Kierujemy się na miejscowość Urgan, gdzie mamy zamiar zatankować. Nagle dostajemy prezent w postaci ASFALTU! Piątka zapięta jedziemy 130 km/h wiatr pod pachami, nogawki trzepocą, wietrzymy mokre ubrania. Droga z licznymi chopkami, koła trzymają się nawierzchni, zawieszenie nie dobija, gdy nagle na jednej z nich wysadza mnie z siedzenia, ale

zawiecha dawała radę. Jak się zatrzymaliśmy na stacji, Izi pyta jak na chopach było, bo na BMW GS po przejechaniu drugiej już dobiło. Chłopaki naprawiają dystrybutor. Mamy 30 min wolnego. Dokręcamy śruby, kleimy plastiki.

Pogoda super, ciepło i słonecznie. Po wyjeździe z miasteczka, oczywiście asfalt się skończył, a droga zrobiła się piaszczysta, szutru jak na lekarstwo, ale szeroko. Wjeżdżamy do jakiejś wioski (nie pamiętam nazwy), gdzie atakujemy sklep i robimy śniadanie. Ludzie patrzą na nas jak na kosmitów

Miejscowe szczyły przyjeżdżają pod sklep swoimi sprzętami. Fantazję do tjuningu to oni mają.



Może mieszkać 5 osób na krzyż, ale dworzec być musi!!



Jemy, pijemy, przebieramy się i ruszamy. Dwóch tubylców na motocyklu jedzie z nami, tak na doczepkę. Gdy droga zrobiła się ch...a, chłopaki odpuszczają. Wiemy dlaczego. Nie wiadomo skąd, przed nami więcej kałuż niż suchej nawierzchni. Jedziemy zygzakiem. Inaczej się nie da. Sprawdziliśmy pierwsze kałuże organoleptycznie, ale okazało się, że są za głębokie żaby je brać na szagę.



I tak w lewo, w prawo, w lewo w prawo. We łbie się zaczęło kręcić. Widać cały czas BAM, więc spokojnie do przodu. Od czasu do czasu droga rozwidła się. Jedziemy jakoś do góry w żółwym tempie, obok nas powycinane lasy. Jak na ten podjazd, to jedynka jest za wysokim biegiem. Znow droga wymyta przez padające deszcze. Rozpadliny głębokości 1 metra. Coś chyba nie tak. Zatrzymujemy się odpalamy GPS. Okazało się że podupczyliśmy drogę, BAMu nie widać. Przejechaliśmy nie potrzebnie

ok. 8 km. Zawracamy. O dojeździe do właściwej drogi mówią nam kałuże. I znów lewo, prawo, lewo, prawo aż do kolejnej rzeki. Oczywiście mostu drogowego nie ma. Zawalony. Z jego resztek widać że robią ludzie ogniska. Tu i ówdzie widać jego ślady. Nie mamy sił żeby ścigać gacie, sprawdzić możliwość przejazdu. Ładujemy się więc w spodniach i butach. W miarę płytko, rzeka nie za szeroka tym samym nawet nie patrzymy w kierunku mostu. Ostatnio przejazdy przez nie to ostateczność. Najwięcej kłopotu sprawia nam wjazd.

Sam przejazd tragiczny nie jest, pod warunkiem że nie pojedzie pociąg, nie ma ubytku w podkładach, nie ma za bardzo wystających śrub, jest miejsce żeby zrzucić moto w razie nadjeżdżającego pociągu, szczeliny pomiędzy deskami są takie że opona się mieści. Na początku woda do kolan, gdy dochodzimy do  $\frac{3}{4}$  jej długości robi się głębiej, nurt przybiera na sile. Kamienie większe. Rozchodzimy się na boki, szukając wypłycenia. Przez takie łożenie, przejście przez rzekę robi się 3 x dłuższe od jej faktycznej szerokości, ale na most ni ch....a, nie wejdziemy! Jesteśmy na drugim brzegu. Wracamy, tą samą drogą. Na pierwszy ogień Izięgo moto. Z problemami, ale się udało, później moje, było już łatwiej. Choć kilka razy motocykl znosiło. Poprzeprowy szlug, Izi kilka cukierków i w drogę. Robi się późno, cywilizacji brak. Wszystko mamy mokre.

Chcemy dojechać do byle wiochy i szukać noclegu. Wiemy, że ok. 15 km od nas jest Etyrkien, jeśli nic po drodze nie będzie walimy tam do pierwszego lepszego sklepu i pytamy o nocleg. Chcemy się wysuszyć, więc spanie pod gołym niebem nie wchodzi w rachubę. Znając życie, ktoś nas przygarnie. Dziury, woda, kamienie, piasek, błoto, resztki powalonych drzew, komary i inne robactwo...czego jeszcze można się spodziewać? Co jeszcze może być przed nami? Prędkość spada do 5 km/h. Patrząc na mapę widzimy, że przed Etyrkieniem, będzie jeszcze jedna rzeka. I raczej na most drogowy nie ma co liczyć. Słońce chyli się ku zachodowi, zimno, wary sine się robią. Koniak już dawno się skończył.

Z przemarznięcia, lejemy co 15 min. Nagle jest rzeka, tyle że przypominała ona raczej Amur. Widać, że to najszersza rzeka z jaką mieliśmy do czynienia. Były różne, a ta biła wszystkie. Nie będzie letko. Wyciągamy wszystko z kieszeni kurtki, tak na wszelki wypadek. Przed załanką trzyma nas świadomość, że za ok. 5, może 10 km

jest cywilizacja. Odruchowo, nawet się nie odzywając do siebie, schodzimy z motocykli i włączymy do wody. Kilka metrów od brzegu była mała kamienista wysepka. W najgorszym wypadku będziemy na niej spali. Tylko co jak miś przyjdzie w nocy na ryby? Im dalej tym głębiej, idziemy bokiem na wprost nurtu, czuć że nas chce porwać. Woda po pas, wlewa się w gacie prze guziki. Łapy podnosimy już góry, woda do pępka. Logika mówi, że trzeba iść na wprost, ale nie da rady. Kluczemy, idziemy 10 m w lewo lub w prawo, po to żeby znów wrócić do punktu wyjścia. Wszystko wskazuje na to, że musimy się kierować w stronę mostu kolejowego, który jest oddalony od nas o ok. 40 m, wchodząc do rzeki jakieś 8 m od jej brzegu.

Tam, już prawie pod mostem, kierować się w stronę przeciwległego brzegu, żeby 3 metry od niego obrać kierunek na prawo i znów przejść 40 m. Gdy wyszliśmy na brzeg i stanęliśmy na drodze, marzyliśmy żeby teleportować motocykle. My przeszliśmy, ale dryndy zostały. Trzeba je przetargać. Więc wracamy po nie tą samą drogą. Przepawa z jednym motocyklem zajmuje nam 45 min, tyle czasu spędzamy w lodowatej wodzie. Nie mamy siły ani ochoty nawet się odezwać. Robimy wszystko odruchowo. Łączność telepatyczna. Wracamy po moje. K...a ZIMNO!!! Przechodząc z moim motocyklem, mamy wrażenie, że wiem gdzie i jaki będzie kamień po drodze. Nie gadamy do siebie. Wsiadamy i jedziemy.



Po lewej widać drogę z której przyjechaliśmy



Patrzę na prędkościomierz. Kilometry lecą: 5, 10 a Etyrkienu nie ma. Po 15 km od rzeki widać zabudowania. Wpadamy do wioski. Dookoła walące się szopy, jakieś magazyny kolejowe. Szukamy sklepu. Kierujemy się na jakieś blokowisko. Jest sklep. Ledwo z motocykla możemy zejść. Każde stąpienie na ziemi, powoduje wylanie się z butów wody. Już mamy wejść, gdy zaczepia nas koleś ubrany w moro i pomarańczową kamizelkę odblaskową. Na początku widać że ma do nas dystans, chce pogadać, ale trochę się boi. Jest ostrożny.

Gadka, szmatka, pierdu, pierdu. Wraca z pracy, a pracuje jak większość ludzi na kolei. Żule pod sklepem wołają nas na kielicha. Roma, bo tak ma na imię rozmówca, proponuje nocleg u siebie. Mieszka w bloku, przy którym właśnie staliśmy, a motocykle zawieziemy do jego kolegi, który ma jakąś bazę. Pasuje. Mieszkanie okazuje się być 4 pokojową chawirą mającą ze 120 m<sup>2</sup>.

Mieszka sam. Pół roku temu, wrócił z wojska. Był snajperem, gdzie swoje umiejętności mógł zademonstrować w Czeczeni. Daje nam pokój i dzwoni po kumpla, żeby przyjechał po nas. Odstawiamy motocykle na plac, po którym biegają psy wielkości niedźwiedzia. Stąd na pewno nam nie zwędzą, ale zeżreć mogą. Kola, bo tak miał na imię koleś Romy, pakuje nas to Hylux-a i wiezie z powrotem. W tym czasie Roma robi kolację. Wyciąga z lodówki rybę, którą trzymał na specjalną okazję. Twierdzi, że właśnie nadeszła. Rozwieszamy mokre rzeczy, robimy pranie. W buty ładujemy gazety, żeby wyciągnąć z nich wodę.

Na drzwiach pokoju, wisi wojskowy wyjściowy mundur. Na stole leżą naboje, które Roma robi sam. Za drzwiami stoi strzelba myśliwska. Na ścianach wiszą myśliwskie



zdobycze. Siadamy do kolacji. Roma opowiada o sobie. Mieszka tylko z psem, matka jest szyczą milicji i mieszka w Komsomolsku, o ojcu nic nie mówi. Gdy miał 20 lat, powołali go do wojska. Dojechał pociągiem do Komsomolska, a stamtąd zapakowali poborowych w śmigłowiec i wywieźli gdzieś w tajgę do jednostki. Rok służył w Czeczeni. Widać, że chłop żyje jeszcze przeszłością. Pokazuje zdjęcia, opowiada. Pytamy jak z niedźwiedziami wygląda sprawa. Okazuje się, że praktycznie przychodzą pod wioskę codziennie. Jest ich tu mnóstwo.

Teraz są nie groźne. Człowiek jest dla nich najłatwiejszą zdobyczą. Kiedy są głodne, a są wiosną, mogą zaatakować. Wiosną tego roku, jeden z nich przychodził na miejscowy cmentarz, rozkopywał groby i wyżerał, to co świeższe. W końcu, Roma wlaź na drzewo, i czekał aż przyjdzie. Przyszedł i szybko odszedł dostawszy kulkę w łeb. Pojechaliśmy do Koli na banię, tego nam było trzeba, cały brud, zmęczenie odeszło w niepamięć. Przyszli też jego znajomi. Było nas chyba z 12 osób.

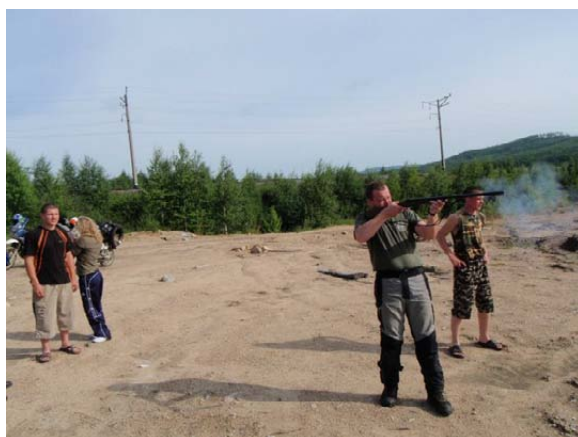
Rozmawiamy o wszystkim, jak się żyje u nas a jak u nich. Są zaskoczeni naszą znajomością Rosyjskiego. My pijemy wódkę, a oni sączą wino, nieliczni z nich piwo. Znow padł stereotyp, że Rosjanie chleją. Roma proponuje, że jutro rano zapakuje nas na pociąg i wyśle dalej, gdyż nie mamy szans przejazdu. 5 km od Etyrkienu jest rzeka, której nie da się w żaden sposób przejechać. Nie wierzy, że będziemy próbować. Upiera się. Jeśli faktycznie nie da się przejechać, to na pewno wrócimy do niego z prośbą o pomoc. Ale na razie, niech nas nie namawia. Czas miło upływał, oczy robiły się ciężkie. Idziemy do spania. Rano, zanim wyjedziemy mamy się wybrać na strzelanie. Roma siedział pół nocy i robił naboje.



# Dzień 28. Africa U-bot. Przejechane 23km do mostu z ochroną.

Tego było nam trzeba. Porządne wyro, ciepła i gruba kołdra, tak samo z poduszką. Pełna sielanka, ciepło, wygodnie, komary nie gryzą. Wstawać się nie chce. Leżę i czekam, czy Izi się odezwie, że trzeba wstać. Mam nadzieję, że myśli o tym samym co i ja i też dupy nie chce mu się ruszyć. Ale niestety, w końcu tyłek z wozu, czas ucieka. Roma robi śniadanie. Zbieramy klamoty, bo zaraz Kola po nas przyjedzie. Buty mokre, nie wyschły, znów te pieprzone ciuchy na siebie naciągać. Przed nami znów wielka niewiadoma. Pakujemy się do auta z tobołami, strzelbą i workiem naboii. Najpierw strzelanie! Jedziemy po dryndy. Chłopaki oglądają motocykle i cmokają, widać że mają ochotę się przejechać. Pierwszy wychyla się Roma, widać, że chłop rozsądny to daję mu swojego sprzęta. W klapkach, krótkich spodenkach i koszulce, rusza. Izi dziwnie na mnie patrzy. Mamy nadzieję, że wyrobi wszystkie zakręty i wróci.

Nasłuchujemy czy słycać silnik. Po chwili wraca, z wielkim bananem na gębie. Widać, że Kola już nie może wytrzymać. Wsiada na Izego motocykl i jedzie. Na dodatek zapakował sobie dziewczynę na tył. Roma uspokaja, mówiąc że Kola kiedyś jeździł Mińskiem. Kamień spadł nam z serca. Wyjeżdżamy za wioskę, z nadzieją, że chłopaki odwiozą nas do tej rzeki, której nie można przejechać. Przejechaliśmy może z 2 km i zatrzymaliśmy się na polanie. Giwera, naboje, puste butelki, i strzelamy.





Nikt nie zginął, ani nie został ranny, więc się żegnamy. W razie zasadzki z rzeką, mamy wrócić, a pomogą nam zapakować się na pociąg. Zawsze to coś, mieć zabezpieczenie w razie „W”. Ruszamy. Droga do dupy. Znow powyrywana, wymyta przez wodę piaszczysta autostrada. Tempo złówia, ale dajemy radę. W oddali widać, przerwę w drodze. Pewnie to ta rzeka. Faktycznie, wyglądała średnio, ale nie tak jak przed Etyrkieniem. Zresztą z samego rana mamy trochę krzepy. Głęboko na oko nie jest, ale to może jakaś mina? Gorszą sprawą okazał się nurt.

Bo tempo miał okrutne. W takich sytuacjach, stosujemy procedurę nr 1, czyli sprawdzenie co pod wodą. Transport mojej dryndy kończy się jej utopieniem (to o tym pisał Izi, kilka postów wyżej. Nie wiem co mu większą radochę sprawiło, czy to że utopiliśmy kompletnie motocykl, czy to że zdołał go zatrzymać). Fakt, faktem, że jak wytargaliśmy ją na brzeg, to nie miałem ochoty sprawdzać, czy pozostało coś suchego w bagażach. Wykręcenie świeczek, postawienie na gumie, zakręcenie kilka razy i zagadała. Z Iziego, poszło bez problemów. Tak więc, chyba nie skorzystamy z pomocy Romy i Koli.

Żeby nie było za wesoło, początek dnia musiał nas czymś zaskoczyć. I zaskoczył. Nie wiadomo dlaczego, co było powodem, sami się zastanawialiśmy. Na pewno stromy podjazd, kaszaniasta droga i zastane kości.



Dzień bez gleby, to dzień stracony nie zależnie ile km przejechaliśmy

Pozbierawszy zabawki, ruszamy dalej. Tym razem zamiast podjazdu, był zjazd. Nie wiesz którą stroną jechać. Czy wjazd w wymyście w drodze, wyprowadzi cię na prostą, czy nie. Tu patenty nie działały. Kałuże były opanowane, ale nie to. Nagle spotykamy kilku gości. Mówią, że są z ochrony mostu kolejowego, od którego jesteśmy 500 m. Jeden z nich przedstawia się jako „naczelnik”. Chcą w łapę za przejazd przez niego, bo niżej jest rzeka, której oczywiście nie przejedziemy. No pewnie, kolejni, którzy nam to mówią. Olewamy ich i zjeżdżamy na dół, mijając owy most. Był jakieś 800 m od drogi którą jechaliśmy. Dojeżdżamy do tak naprawdę brodu, bo rzeczką to ciężko nazwać. Takich przejazdów dziennie było kilkadziesiąt. Nic szczególnego, nie wartego opisu. Ale nie ten. Może miała z 5 m szerokości. Żaden problem. Do czasu, aż nie zeszliśmy z motocykla. Wąska, ale kurewsko głęboka. Na dnie kamienie wielkości Fiata 126p. Dodatkowym utrudnieniem, był zwalony wielki betonowy słup, który leżał prawie w poprzek brodu. Łazimy bokami,

ale nie ma jak przedostać się na drugą stronę. Szanse na przejazd określamy w skali od 1 do 10 na -5. Zawracamy i jedziemy do ochronnego mostu.



Kiedy podjechaliśmy, wyszedł do nas ochroniarz, pytał co tu robimy i tak dalej. Opowiadamy o co biega. Okazało się, że na zachód od nas, w wyższych partiach gór, przez 2 tygodnie lało. Spływająca rzeka, właśnie niesie te opady. Stały poziom wody utrzymuje się od 4 dni, i nie opada.

Zaprasza nas do środka, na herbatkę. W budynku siedzi 6 gości, reszta na służbie na wieżyczkach. Nie rozpoznajemy w nich, żadnego z tych, którzy przed chwilą mówili że są z ochrony mostu. Ciul wie co to byli za jedni. Opowiadają, że nie tak dawno szedł tędy, samotny Japończyk, który wybrał się dookoła świata. Miał ze sobą tylko mały wózek, a w nim cały dobytek. Przeprowadzili go przez most, za którym 1 200m idąc torami, jest zejście do głównej drogi.

Pogada z naczelnikiem, czy nie było by możliwości przejechania właśnie tą drogą, ale dopiero na koniec zmiany, czyli za jakieś 3 godziny. Ostateczną decyzję może jednak podjąć tylko naczelnik. Znow suszymy mokre ciuchy. Izi widzi, że ma pękniętego gmola. Pytamy o spawarkę, oczywiście jest, funkiel nówka, ale nikt nie umie jej obsługiwać. Izi Mc Giwer bierze się więc do roboty.

Poszliśmy zobaczyć do owej rzeki, jak z poziomem wody. Poprzednio wbiliśmy na brzegu patyk równo z poziomem. Schodząc na dół, kreślimy na drodze strzałki, żeby wiedzieć która droga jest najlepsza. Było gorzej. Patyk był już zalany. Czyli woda się podnosi. Liczymy więc na przejazd mostem.

W końcu możemy iść. Koleś ma krótkofalówkę, przez którą pyta czy nic nie jedzie. W razie gdyby jechał pociąg, mam z Izim pakować się w krzaki, co by nikt nas się widział. Analizujemy po drodze plan działania. Wjazd na skarpę, to żaden problem, tylko dwóch ludzi musiałoby przerzucić dryndy przez szynę. Jak weszliśmy na most, kopara nam spadła. Okazało się, że to najwyższy most kolejowy w chabarowskim kraju. Ma 56 m wysokości.

Robi wrażenie. Idziemy torami. Tory jak tory. Uzmysławiamy gościowi, że to idealna droga. Można między szynami jechać 50, 60 km/h. Chwilka, moment, a będziemy już przy zjeździe. Tylko żeby było kolejnych dwóch ludzi, a cała operacja nie zajmie więcej jak 5 min. Potwierdza, że to słuszna opcja, choć jedynym problemem może być jakiś kawałek blachy połączony przewodami umieszczony między szynami. Z tego co się dowiedzieliśmy, służy do załączania, czy wysłania informacji, że jedzie pociąg. Pełni nadziei wracamy do wartowni. A on postanawia pozbierać grzybów. Gdy wracamy, słychać pociąg, więc walimy w krzaczory. Przejechał tylko skład techniczny, składający się z lokomotywy i dwóch platform. Po powrocie zdajemy relację wszystkim, którzy byli na wartowni, wmawiając im, że to super fantastyczne wyjście, a przejazd, to bułka z masłem.

Gość, który z nami poszedł wy badać możliwość przejazdu, przyniósł 2 torby grzybów. Niestety, zakomunikował nam, że raczej naczelnik nie wyrazi zgody na przejazd przez most, bo ktoś z technicznego składu nas widział. Gówno prawda... Po prostu się bał. Jesteśmy wkurwieni.

Jako że robiło się późno, proponują nam nocleg i jakąś strawę. Niedaleko od nich, jest opuszczony budynek po jednostce wojskowej, która niegdyś pilnowała mostu. Teraz jest pusty, choć zrobili w nim jeden pokój, w którym nocują dwa razy w roku myśliwi. Na kolację zupka, chleb i zebrane grzyby przysmażone na maselku i posypane pietruszką. Ich smak mam w ustach do dziś, po prostu BOMBA! Naczelnik chyba chce zagrać tego dobrego.

Tłumaczy nam podczas kolacji, gdzie dalej po drodze mogą czekać na nas niespodzianki, gdzie należy uważać, żeby nie zjechać z trasy, gdyż jest po drodze kilka rozgałęzień. Mówi, że jeśli uda nam się dojechać w ciągu jednego dnia do

miejsowości Issa, możemy zgłosić się do naczelnika straży pożarnej. Chłop nas przenocuje, załatwi w razie czego benzynę (w Issie nie ma „zaprawki”). Każdą ewentualną przeszkodę rozrysowuje nam na kartce.

Budynek, w którym mamy spać to dwu piętrowiec. Wszędzie brak okien, grzejniki wyrwane. Na ścianach w łazience zostały tylko płytki. Co było możliwe do zabrania, zabrano. Nie było nawet wszystkich desek w podłodze. Drzwi pokojowe od wewnątrz były obite niedźwiedzią skórą. Łóżka piętrowe, gdzie to górne było na wysokości 3,5 metra. Walały się wędki, walonki, grube zimowe ubrania. Najważniejsze, że jest dach nad głową.

Kładziemy się spać z nadzieją, że jednak naczelnik zmieni zdanie. Co nas wkurza? Że urlop się zaczyna kończyć, my w czarnej żopie z przebiegami gruuubo poniżej średniej.

# Dzień 29. Rzeźnia. Przejechane 37km.

## Od mostu z ochroną do Issy.

Ranek wita nas słońcem. Wstajemy zastanawiając się, czy przypadkiem naczelnik nie zmienił zdania, i nie puści nas mostem. Mamy taką nadzieję. Zanim dojedziemy do wartowni, schodzimy w dół zobaczyć jak z poziomem wody. Niestety, nic nie opadł. Chłopaki częstują nas śniadaniem i pytają czy byliśmy nad rzeką. Owszem, byliśmy i nie wygląda to za ciekawie – odpowiadamy.

Wchodzi naczelnik i komunikuje nam, że pomoże nam przeprowadzić motocykle na drugą stronę. Weźmie jeszcze z 3 chłopaków i pójdziemy. Wody nam odeszły... Ale cóż, lepsze to niż siedzenie na dupie i nic nie robienie. Zakładają jak najdłuższe gumowce i schodzą a my zjeżdżamy po strzałkach, które rysowaliśmy dzień wcześniej. Ściągamy gacie, zakładamy sandały. Chłopaki sprawdzają, którądy da się przeprowadzić. Wejście do wody powoduje, że miliony igieł wbijają nam się w nogi. Woda cholernie zimna, jeszcze ten drobny piasek na brzegu wsypujący się między stopę a sandał.

Postanawiamy, że nie ma sensu próbować przejeżdżać na załączonym biegu, tylko na odpalonym silniku, co by woda do wydechu się nie dostała. W czterech damy radę je przepchać. Nie było to łatwe, duże kamienie powodowały, że koło co rusz z niego się ześlizgiwało. Ale powoli, powoli przepchaliśmy. Cała ekipa robi jeszcze pamiątkowe zdjęcia.





Ubieramy się i bez jakiegokolwiek entuzjazmu siadamy na motocykle. Jako że przed rzeką był zjazd, to na jej drugim brzegu czekał nas ostry podjazd. Droga standard, wymyta przez deszcze. Pierwszy jedzie Izi. Tylko da się na jedynce. Próba wrzucenia dwójki powoduje że albo motocykl gaśnie, albo się dławi.

Przejechaliśmy może od rzeki 300 m, gdy nagle widzę, jak Iziego przednie koło dziwnie nurkuje w dół, po czym Izi a całym dobytkiem lecie na prawą stronę. Nie ukrywam, że pierwszy raz w życiu widziałem spadający motocykl do góry kołami. Izi był, nagle go nie ma. Nastąpiło tylko uderzenie w rosnące obok brzoźki, i krzaki. Brzoźki grubości uda, zatrzęśły się jak by wjechał w nie samochód. Pierwsza moja reakcja, to zamknięcie gazu, motocykl zgasł. Jak siedziałem, tak rzuciłem go na bok i biegłem w stronę Iziego.

Darłem się: Izi, nic ci k...a nie jest.? Żyjesz? Nie wiem czy dopowiadał, nic nie słyszałem, bo kasku nie zdjąłem. Myślałem tylko żeby się nie połamał. To był moment, kiedy dotarło do mnie, że to już chyba koniec jazdy. Ale w dupie z tym, najważniejsze, żeby chłop był cały, srać na motocykl, się wyklepie. Nagle drzewka się poruszyły, Izi się drze: dwaj k...a, musimy drynde postawić na koła, bo się paliwo leje.



Nasza późniejsza rozmowa, nie nadają się na opis, były tylko przekleństwa. Motocykl stał w głębokim rowie. Nie było można go wyciągnąć z powrotem na drogę. Izi go trzymał starając się żeby był w miarę w pionie, a ja pobiegłem z powrotem w dół rzeki z okrzykiem; rebiata, rebiata. Nie odeszli daleko, bo gdy dobiegłem do brzegu, stali na rzeką i patrzyli w moją stronę. Poszliśmy razem żeby klamotę wyciągnąć. Drynda

stała jakieś 60 cm poniżej poziomu drogi. Starty, to ułamane lusterko z mocowaniem do pompy hamulcowej, złamane luterko, nadwyrężone morale Iziego, i kupa strachu. Nic to jakoś jedziemy dalej.

Znów kałuże, zjazdy, podjazdy. O większość drogi jechaliśmy przez las mając drzewa tuż przy drodze, to teraz zamiast drzew były rozlewiska, bagna. Co chwila wyrastała przed nami kałuża długa na kilka metrów. Wjazd środkiem nie możliwy, bo głęboko. Więc próbujemy bokiem. Niestety, zaraz motocykl grzązał w błocie. Pchanie nic nie dawało, tylko koło się kopało. Wiec pozostało tylko ciągnięcie za przednie koło. Centymetr po centymetrze pokonywaliśmy bagno za bagnem.



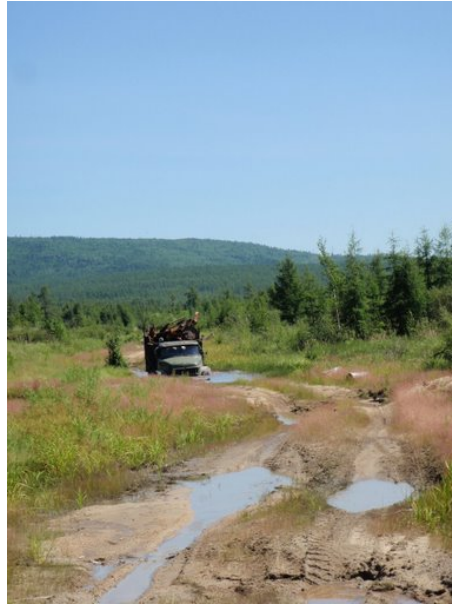


Zrobiło się gorąco, co mały potok, to lanie wody do butelki. Gdy pokonaliśmy jedną z kałuż, był następna i następna. W jednej z nich tuż przed zakrętem gdzie Izi skręcił i mnie nie widział w lusterku wypierdzieliłem się. Byłem już prawie na brzegu. Motocykl przygniótł mo nogę. Nie mogłem się ruszyć. Podparłem się tylko ręką, żeby woda nie lała się za kołnierz i czekałem aż Izi się kapnie że mnie nie ma. Wyjechałem suchy, a po paru godzinach znów wszystko mokre jak gnój.

Ten dzień zapamiętam jako najgorszy z całego wyjazdu. Odechciało mi się wszystkiego. Nie miałem już sił, co chwilę schodzić z motocykla, żeby sprawdzić którądy jechać. Miałem w dupie wszystko. Jechałem środkiem, bokiem, górą dołem. W dupie miałem czy utopię tylko motocykl czy siebie, czy się wyp....e czy nie. Nie miałem nawet siły zajarać. W pewnym momencie zauważyliśmy dwa Krazy wyładowane złomem, które jechał z przeciwka.

Co chwilę się zatrzymywały, wyskakiwał z szoferki pasażer i patrzył jak pokonać kolejną przeszkodę. Kałuże przez które przejeżdżali czasem środkiem, powodowały, że woda przelewał im się przez maskę. Gdy się zrównaliśmy i zapytaliśmy o drogę, jeden z kierowców pokazał palcem, że tamtej kałuży nie przejedziemy, bo woda wysoka.

Owa z kałuż wyglądał jak setki innych, które pokonywaliśmy.



Mieliśmy plan od naczelnika, którą jechać, żeby nie pobrać. Niestety, na jednym z rozwidleń, skręciliśmy nie tam gdzie trzeba. Intuicja podpowiadała nam, żeby jechać ścieżką bardziej wydeptaną. Trafiliśmy na jakąś wycinkę drzew. Droga znów pięła się w górę i była kręta.

Na jednym z zakrętów, wyjechał Kraz wyładowany drzewem. Izi widząc większego od siebie, próbował uciekać na prawo, niestety, kierowca Kraza nie wyczuł intencji Izego i skręcił w lewo. Skończyło się głębą Izego. Szofer wyleciał z kabiny myśląc że przypaprał w mniejszego. Zwożą drewno na pobliski tartak, a z niego ładują na pociągi. Skończyło się tylko na strachu. Zjeżdżamy z powrotem. Nie dość, że kilometry nawijają się w żółwym tempie, to jeszcze błądzimy.



Droga nic się nie zmienia. Dojeżdżamy do małego brodu. Leży przy nim jakieś mydło, ręcznik i slipy. Nikogo nie widać, żadnego pojazdu, nic. Ktoś pobłądził, czy co? Po południu wjeżdżamy w las. Droga, to nic innego jak leśna ścieżka. Trawa w koleinach ma może z metr wysokości. Gdyby ktoś tędy jeździł była by rozjeżdżona.



Czy coś tu jeździ? 🤔

GPS pokazuje, że nie długo powinna być miejscowość Isa. To tam chcemy dziś dojechać, znaleźć straż pożarną i walić do naczelnika. Z wysokiej trawy, wystawał kawał pnia. Jako że Izi jechał pierwszy i go nie zauważył, to przypaprał w niego nogą,

tą którą skręcił na Kamczatce. Miałem mu za złe, że nie ostrzegł mnie kiedy związał się się z bólu o nadchodzącym nie bezpieczeństwie. Zrobiłem to samo. Noga spuchła nam w kostkach.

Zlani potem, umęczeni, brudni, śmierdzący, z popękkanymi wargami, pod koniec dna widzimy w oddali zabudowania. Nie wiemy czy to nie fatamorgana czy to upragniona Issa. Kiedy wyjechaliśmy z lasu na ichniejszą główną drogę, jechał jakiś facet motopedem. Znaczy się że już prawie. Szukamy straży. Wioska mała więc problemu nie było. Wjeżdżamy w bramę. Wychodzi jegomość, zagadujemy skąd jedziemy, kto nas polecił. Popatrzył na nas dziwnie, jaki chroniony most, jaki naczelnik ochrony mostu? Pełne zdziwienie, ale skoro mamy się zgłosić do naczelnika, to do niego dzwoni. Naczelnik straży też zdziwiony. Nie zna żadnego naczelnika ochrony mostu, ale skoro już jesteśmy, to możemy się tutaj przespać.

Oddaje nam dużą salę do dyspozycji. Przebieramy się, nie mamy sił ściągnąć butów. Podchodzi do nas dwóch kolesi, dłubiących słonecznik. Coś tam gadamy, ale wcale nie mamy na to ochoty. Zapraszają nas do siebie na biad. Jest łazienka, możemy się umyć. Znają naczelnika, więc problemu nie ma. Zamykają bramę remizy i idziemy na jakąś strawę. Pierwsze kroki do sklepu. Marzę o zimnym piwie i normalnych fajkach, bo ostatnio paliłem Biełomorskie.

Issa leży 70 km od Friewralska, skąd już rzut beretem do federalki. Chcieliśmy tam dojechać, i obrać stamtąd kierunek na Czitę, Irkuck. Chłopaki mówią, że droga do Friewralska jest dobra, to grawiejka, tylko trochę zalana przez deszcz. Patrząc na nasze gęby, proponują, żebyśmy może załadowali się na pociąg, który jeździ codziennie o 4 nad ranem i pojechali tam pociągiem a nie na motocyklach.

Doszliśmy z Izim do wniosku, że to nie głupi pomysł, tym bardziej że skoro pociąg jedzie 2 godziny, to o 6 rano jesteśmy na miejscu, wypoczęci i wyspani. Mamy jeden dzień do przodu. Tak to był bardzo dobry pomysł. Tyle żarła nie widziałem na oczy będąc w Rosji. Było chyba z 5 różnych dań. Piwa poszło chyba z 5 litrów. Wpadłem w błogostan. Pociąg którym mieliśmy jechać, przyjeżdża na dworzec o 22, więc mieliśmy mnóstwo czasu. Oglądamy jakiś film na DVD, wiem tylko że był o wampirach. Nasz wewnętrzny film urywa się po chwili i zasypiamy.

Spaliśmy szybko, bo już po chwili chłopaki zrobili nam pobudkę. Pociąg przyjechał na stację. Idziemy po rzeczy do straży. Wrzucamy wszystko niedbale do worków. Na pytanie ile mamy zapłacić za pociąg, chłopaki odpowiadają, że wszystko jest załatwione. Znają dobrze naczelnika kolei, mamy się niczym nie przejmować. Nasz pociąg to lokomotywa, jeden wagon pasażerski i jedna platforma, z której ludzie ściągają towar. A to zaopatrzenie do sklepów spożywczych, ktoś przywiózł lodówkę, jakieś rowery. Bierzemy kawał deski i wjeżdżamy na platformę. Koleś z obsługi kolei mówi, żeby motocykle nie wystawały po za obrys wagonu.



Co za problem. Ustawiamy je wzdłuż platformy i kładziemy na podłodze. Nic nie przywiązujemy, nic nie zabezpieczamy. Na drogę dostajemy suchy prowiant, jajka, kiełbasę, pomidory, ogórki chleb, jakieś ciastka.

Nikt nas nie znał, a dał jedzenie, przenocował, załatwił pociąg za który grosza nie zapłaciliśmy. Ładujemy się do wagonu pasażerskiego. Nikogo nie ma, więc wybieramy najlepsze miejsce. Rzeczy wrzucamy pod łóżko i kładziemy się spać. Jutro mamy zamiar wymienić klocki hamulcowe bo się pokończyły.

Od jutra żegnamy się z BAM-em! Jest 09.08.2008, a 25.08 mamy być w robocie.

# Dzień 30. Fiewralsk. Przejechane 570km.

Rano o 6 meldujemy się na stacji w Fiewralsku. Pan kolejarz był tak miły że podjechał pod drugą bocznice, co byśmy mieli lepszą możliwość zjazdu z platformy. Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, to zatankować. Jeśli będzie woda na stacji, to umyć zaciski hamulcowe co by dojść do klocków. Miasto opuszczamy piorunem, kierując się na Wiedenowka. Na wylocie tankujemy pytając panią o wodę do mycia. Na co odpowiada, że 5 km stąd jest rzeka z dobrym zjazdem. Na słowo rzeka widzę jak Izi leci do baby z łapami i pianą na gębie. Widać nie ma miłych wspomnień. Faktycznie po 5 km, most o dziwo przejezdny i zjazd w stronę rzeki. Bierzemy leżąc puste plastikowe butelki, napełniamy wodą i myjemy.

Klocki z przodu są na wykończeniu, tyłu już dawno nie ma. Na przód ma iść nówka komplet, a na tył lekko zużyte. Izi wymienił u siebie bez problemu, wszystkie śruby odkręcił. W mojej tylko wymieniliśmy jeden komplet z przodu, drugiego zacisku nie dało się odkręcić, gdyż obrobiła się śruba. Jak ruszyliśmy, pech chciał, że nowe klocki działały ale na tarczy która była jak się okazało krzywa. Hamowało się do dupy. Plan taki, żeby zakupić płyn hamulcowy, odkręcić przewód hamulcowy z zacisku tarczy, na której nie było klocków, odpowietrzyć i jakoś do przodu. Tak zrobiliśmy. Wracalem z hamulcem na jednej krzywej traczy, tyłu używałem sporadycznie, wiedząc, że na długo nie wystarczy.

Zaczęło dość mocno padać, więc kondony nieodzowne. Droga to znana nam grawiejka z mnóstwem kałuż. Można spokojnie jechać 110 – 120 km/h. W końcu dojeżdżamy do krzyżówki, gdzie wbijamy się na federalkę, kierunek Czita!





Zaczął się asfalt, piękny i równy. Zatrzymujemy się pod barem, żeby wciągnąć coś ciepłego. Na parkingu stoi mnóstwo „pieregończyków”, wynajętych kierowców, którzy jadą z Władywostoku do Czity, Ulan Ude czy Irkucka samochodami na handel, które przyplęły z Japonii. Od tej pory będą nam towarzyszyć prawie do Krasnojarska. Pytamy jednego z nich jak wygląda droga, na co odpowiada że na przemian co 40 km będzie grawiejka na zmianę z asfaltem. Tak też było. Sucha grawiejka, to kurz, mokra, więc było błoto.



Nie przejechaliśmy 10 km, kiedy z przeciwka nadjeżdża motocykl. Było to BMW 650 GS, z Kanadyjczykiem na pokładzie. Kierował się do Władywostoku i na statek, którym chce dopłynąć do domu. Koleś jest od 3 lat w podróży. Niestety musi ją kończyć, gdyż jak nam zakomunikował, żona się już stęskniła. Kiedy zatrzymujemy

się na tankowanie, podjeżdża jeden z pierogończyków, i prosi żebyśmy przy wyprzedzaniu odjeżdżali trochę dalej, gdyż walimy im kamieniami po autach. Większość aut, którymi się poruszają, są oklejone specjalną taśmą, żeby nie uszkodzić lakieru. Niektórzy z nich ciągną na krótkim sztywnym holu kolejną osobówkę w której nikogo nie ma. Pomiędzy holującym pojazdem a holowanym jest włożona dykta, żeby kamienie spod kół nie tłukły lakieru. Owszem, może i lakier będzie w nie złym stanie, natomiast zawieszenie po takiej jeździe dostaje nie źle w dupę.

Tak czy siak dojeżdżamy do Magadaczi.



W 2005 roku kiedy Izi jechał z Władywostoku spał u jednego dziadka. Postanowiliśmy go odwiedzić, a przy okazji przenocować. Izi trafił na miejsce bez problemu. Niestety sąsiad dziadka nas poinformował, że dom został sprzedany, a właściciel przeprowadził się do córki., która mieszka w Czicie. Cóż, zostaliśmy bez noclegu, ale pytamy gościa czy nie dałoby rady się gdzieś przespać. Każe nam jechać za nim. Dojechaliśmy do budynku jakiejś firmy, która zajmuje się remontem i obsługą kolei. Dostaliśmy do swojej dyspozycji salę wykładową. Na stole, który stał na podeście zrobiliśmy knajpę, a niżej legowisko. Była woda, było ciepło, co więcej trzeba? Idziemy spać.



# Dzień 31. Przejechaliśmy 640 km

Gdy wyjechaliśmy z Magadaczi, spotkaliśmy rano dwóch Angoli na V-Stroma'ch. Lecieli do Władystoku przez Mongolię. Mówili że widzieli kilku Polaków na Transalpach. Trasa z Czity do Magadaczi zajęła im hm...cztery dni. Fakt że trochę im padało, jechali na Anakach, ale żeby jechać 4 dni?



Droga, to typowa grawiejka, z mnóstwem pierogończyków, amerykańskich ciężarówek jadących nie więcej niż 20 km/h.



Czyścimy po drodze u mnie filtry powietrza, gdyż Afryka zaczyna palić 10-12 litrów na 100. Wszechobecny kurz, a później błoto, woda i wilgoć, spowodował że się zalepiły. Nie można było jechać szybciej niż 100 km/h. Moto się dławilo i prychało.

Jazda jest ciekawa, jeden z nas jedzie lewą stroną, drugi prawą. Ten jadący lewą, w ogóle nie zjeżdża na prawo nawet gdy z przeciwka jadą inne pojazdy. Jadąc samym brzegiem drogi, szuter jest luźny, rzuca trochę, ale nie trzęsie za bardzo.

Nie wiem co to było, ale pod koniec dnia, gdzieś na około 100 km przed noclegiem, coś mnie dopada. Stan podkurwiczny sięgnął zenitu. Co lub kto było powodem? Nie wiem. Ruch na drodze stał się większy. Kurz straszny. Wyprzedzanie to ryzyko, ale co tam. Zaczynam wyprzedzać wszystkie jadące auta, staram się nie wyjeżdżać na środek drogi, gdyż nie wiem, czy coś z przeciwka nie pojedzie. Widoczność może na 10 m. Słońce chyli się ku zachodowi, łapy zaczynają boleć od wibracji, gogle zawałone brudem. Manewr wyprzedzania wykonuje może z 3 min. Potem grzeję ze 140 km/h.

Wkurwienie nie odpuszcza. Lecę w tumanach kurzu, gdy nagle owe tumany kończą się jak gdyby ktoś odciął je nożem. Kurz zniknął, słońce swym blaskiem pierdolnęło po oczach. Wszystkie auta które jechały przed mną, nagle skręciły w lewo. Kątem oka i przez moment widzę znak: OBIAZD. 50 m za znakiem kończy się droga, leżą hałdy kruszywa. Daję po heblach, zrzucam biegi. Gównno, zapierdalam w przepaść. Widzę jak droga kończy się urwiskiem, kilka kupek tłucznia a później nic. Wylatując w

powietrze, odpinam się od motocykla i zaliczam glebę. Nagle stan podkurwiczny przechodzi. Moto nawet nie draśnięte. Ja też. Wypychamy sprzęta z dołu. Izi mnie opierdala. Jedźmy spokojnie 80 km/h, bo się pozabijamy. A było by to głupotą, przecież za nie długo szukamy spania.

Dobra, pierwsze km jedziemy zgodnie z ustaleniami. Ale tylko pierwsze, znów coś we mnie wstępuje i wykonuję poprzedni manewr. Wyprzedzam wszystkie auta, które wyprzedziłem wcześniej, a które z kolei mnie wyprzedziły gdy zbierałem swoje dupsko z dołu. Znów to samo, kurz, maneta, słońce po gałach, auta w lewo, ja prosto, znak OBIAZD, koniec drogi, kupa tłucznia, urwisko, heble, biegi....Wyhamowałem... Myślałem że Izi mnie zabije. Ale nic to, przeszło mi w końcu. Kolejne km pokonujemy w tempie 80 km/h. W sumie mogłem wtedy znów naparzać, bo obiazdów nie było!

Dziś bierzemy nocleg w motelu. Koszt na łeb to całe 20 złotych. Jest ciepła woda, można się wykapać i wysuszyć. Zawsze rano dostaję info od żony, na temat aktualnej pogody miejsca do którego zmierzamy. Zapowiadają, jak to żona określiła, "lekkie i przelotne opady".

Oczywiście nie obeszło się z kolejną fikcyjną gumą.



# Dzień 32.

Rano wypad i do Czyty. Grawiejki zostało może 250 km. Jak tylko trafimy na asfalt, to przeglądamy motocykle i koniecznie czyścimy filtry powietrza. Zjazd na upragniony asfalt i szukanie wody. Trafił się bar, w którym coś jemy, zapijamy 2 litrami piwa i rozbieramy motocykle.

Bar zaopatrywał się w wodę, którą mieli w beczce na przyczepie. Problemów nie robili. Obok był "szynomontarz", czyli ichniejsza wulkanizacja. Więc przy okazji przedmuchujemy cały motocykl sprężonym powietrzem. Zeszło nam chyba ze 2 godziny. Potem na moto i w drogę z nadzieją, że asfalt będzie trwał cały czas. Spotkaliśmy też kilku Australijczyków.



Pamiętam, był jeden odcinek, gdzie się skończył. Było tego może ze 30, 40 km. Nawierzchnia była pokryta jakimś czerwonym gównem. Mimo że nie padało, było ślisko jak cholera. Wyglądało to jak tłusta maź. Wszyscy jechali 10 km/h. My też. Potem znów asfalt. Pod koniec dnia, było coś przed 19, zaciekała mnie jedna rzecz. Mianowicie, przy prędkości 120 km/h, gdzie temperatura na zewnątrz wynosiła ok. 25 st. Wskaźnik temperatury utrzymywał się prawie na czerwonym polu. Myślałem że przejdzie, idąc tropem "jak wlało to i wyjdzie". Niestety, wyleźć nie chciało. Zjechaliśmy na pobliską stację benzynową. Chciałem porządnie przemyć

chłodnice. Jak zszedłem z motocykla, to oczywiście z tyłu flak. Pierwsze co pomyślałem, że to znów jakaś ściema.

Stacja była wypaśna na full. Knajpa, szynomontaż, myjka. Podjechałem może 40 m, w stronę wulkanizacji. Po ściągnięciu koła, okazało się, że odpadł wentyl. Czyli ściemy nie było. Zakładamy zapas. Chłopaki obok z myjni przypatrują się nam, po czym zagadują. Opowiadamy skąd jedziemy, a oni, że skoro topiliśmy motocykle w rzece Amgun, to polecałby ich umycie.

Zdarza się czasem że rzeka niesie promieniotwórcze piaski, gdzieś z jakiś kopalni ukrytych w tajdze. Śmiali się z nas podczas mycia, że spłukujemy z motocykli kupę kasy. No nic, pamiątkowa fota i jedziemy. Temperatura się uspokoiła.

Po drodze atakujemy sklep, robimy zakupy i jedziemy nad jezioro celem najepki i noclegu.

# Dzień 33.

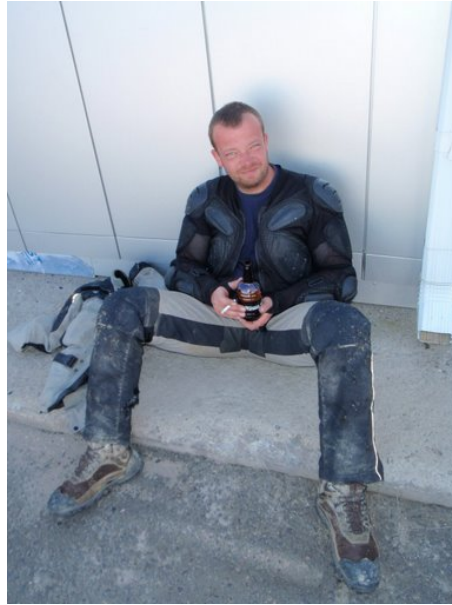
Naszym dzisiejszym celem jest Irkuck. Trzeba przejechać coś ok. 900 km. Cały dzień jazda. Znow gówniana fikcyjna guma. Dojeżdżając do Ulan Ude, zatrzymujemy się, żeby cyknąć fotkę. Ściągam kask, wyjmuję stopery z uszu i słyszę dźwięk przypominający uderzenie deską o deskę. Tyle że takich zestawów było sporo. Okazało się że przyczyną klepania były jakieś koniki polne wielkości gołębia. Jak wlałem w wypaloną przez słońce trawę unosiły się jeden za drugim.







Kiedy zajechaliśmy na kolejną stację gdzieś w Burjacji, było zimnie piwo. Po zatankowaniu i kupieniu po butelce zasiedliśmy pod ścianą w zacienionym miejscu. Kilki kolesi, na widok dwóch motocyklistów z piwem ręką, okazało zdziwienie. Słysząc było rozmowy, że jak to, jadą motocyklami i piją piwo? Przecież tak nie można. Nie reagowaliśmy, żeby nas nie zaczepili nie znów nie zalali milionem pytań o motocykl, moc, cenę itd.



W Irkucku mamy zamiar załatwić "wremiennyj wwoz" w ichniejszym urzędzie celnym, wymienić kasę i obadać możliwość transportu koleją do Moskwy. A wiedzieliśmy że takowa jest. Kwestia odjazdu pociągu i kasy za tę przyjemność. Czasowo by się udało wrócić dryndą przed kończącym się urlopem. Ale żeby wyrobić się w czasie, trzeba pokonywać dziennie średnio 800, 900 km, licząc oczywiście że nie będzie awarii. Jak tylko ujrzeliśmy Bajkał, z na przeciwka jadę motocykle. Zatrzymujemy się. Okazuje się, że to Grecy. Kierunek oczywisty - Władywostok.



Gdy nas zapytali gdzie i jak śpimy, usłyszeli jedną odpowiedź że najczęściej las. Byli zszokowani, bo oni śpią w hotelach. Cóż, co kraj to obyczaj. Dostajemy od nich namiar na knajpę w Irkucku z możliwością noclegu o nazwie BAJKONUR. My ze swojej strony dajemy kilka namiarów na chłopaków z Chabarowska i Władywostoku.

Mamy ze sobą tzw. "help listę", na której są namiary do ludzi którzy oferują pomoc jadącym podróżnikom. My ze swojej strony mamy zamiar z niej skorzystać i poszukać spania w Irkucku. Tym bardziej że pewnie trochę tam będziemy. Łysool, gdy wracał z Kamczatki, wriemienny wwoz załatwił chyba 3 dni. Ale co zrobić, bez tego nie wrócimy. Stąd też myślimy o pociągu, bo za 11 dni musimy być w robocie. Gdy się ściemniało, bierzemy help listę i dzwoniemy. Pierwszy namiar na pomagiera z Irkucka to tel. to Karima. Kręcimy. Mówimy skąd jesteśmy itd. Bez zbędnego gładzenia, mówi że mamy cisnąć w Irkucku na Hotel Europa. Jak tam będziemy to zadzwonić do niego. Mieszka tuż obok hotelu.

Robi się ciemno jak w dupie. Zimno. Do Karima mamy może 80 km. Droga super, nówka asflat. Jedzie się jak po stole. Jedyny problem, to że nie ma namalowanej linii oddzielającej pasy, droga jest kręta no i zamiast kurzu nastąpiła mgła. Więc jedziemy za sznurem aut.

Do Irkucka wpadamy coś ok. 24. Izi lubiący dobre hotele, wrywa włosy z nosa i na czuja szuka hotelu o brzmiącej swojsko nazwie EUROPA. Cierpienie wrywaniem włosów nie poszło na marne. Szybko dojechaliśmy na miejsce. Krótki tel. do Karima, który wyszedł po nas. Faktycznie, mieszkał po drugiej stronie ulicy.

Karim, to koleś o mln pomysłów. Znają go w całym mieście i okolicach. Polecam, to jego strona:

<http://www.iceart.ru/portf.php>

to akurat część jego zajęć. Buduje katamaran, podróżuje. Odnawia starocie, jakieś organy, dzwonnice i cholera wie co jeszcze. Kiedyś zajął I miejsce w Finlandii na zawodach w lodowym rzeźbiarstwie.

Idziemy spać, rano mamy trochę latania.

# Dzień 34. Przejechanych km, może 80 i to po mieście

Z rana szukamy jakiegoś adresu na tamożnię. Jest fajna strona internetowa z planem Irkucka, ale adresu nie pamiętam. Okazało się że jest od nas bardzo blisko. Plan na dziś prosty, załatwić kwit i jak Bozia da, transport do Moskwy. Jest środa, a my w chałupie musimy się zameldować w max w niedzielę przyszłego tygodnia.

Ciepełko pozwala, żeby w końcu nie zakładać tych śmierdzących ciuchów motocyklowych na siebie. Bez bagaży, toreb wsiadamy na dryndy i jedziemy. Po 15 min trafiamy do Głównego Urzędu Celnego w Irkucku. Wchodząc do budynku, widzimy jak na ławce przed budynkiem siedzą całkiem, całkiem pracownicy tutejszego urzędu w mundurach i jarają fajki. Kuse spódniczki..i te sprawy... Oj, chciało by się pochędożyć!!! Ale cóż, my przeca nie po to tu przyjechali. W budynku dowiadujemy się, że tzw. konsultant czyli chodząca informacja, będzie dopiero o 13.30, gdyż są to jego godziny urzędowania.

No nic to, w takim razie mamy 3 godziny wolnego. Postanawiamy lecieć na dworzec kolejowy.

Samo miasto ładne, ruch spory, ale bez problemu da się jechać między autami. Będąc na dworcu, ja pilnuje drynd a Izi wali najpierw do kas, co by się dowiedzieć kiedy i za ile kasiory można jechać. Ja siedzę i obserwuję ludzi, to co się dzieje dookoła. Panuje moda na dłubanie słonecznika. Chyba 90% populacji w Irkucku dłubie słonecznik, spluwając na chodniki. Bary, sklepy, odjeżdżające busy co chwilę. Izi wraca. Pociąg jest, bilety można kupić, ino coś z moturami trza zrobić. Idę na cargo coś się dowiedzieć.

Spotykam kolesia w pomarańczowej kamizelce, który składa jakąś drewnianą skrzynię. Zagaduję i mówię o co biega. Problemu nie ma, tylko motocykl trzeba zapakować właśnie w drewnianą skrzynię. Skrzynię też robią. Co do kosztów i całej procedury, odsyła mnie do gościa, który właśnie szedł w naszą stronę.

Na hasło Polaki, 2 motocykle, wysyłka do Moskwy, facio dostaje piany na gębie. Nie wiem ile w tym prawdy, ale okazało się, że nie tak dawno temu, właśnie ktoś z Polski o imieniu Andrzej, wysyłał BMW do Moskwy. Motocykl miał być bez paliwa i spełniać ichniejsze procedury. Po dotarciu do Moskwy, w wagonie było wylanych chyba z dwa karnistry z wachą, a owy Andrzej spieprzał przez dworzec na motocyklu. Dyrekcja w stolicy ponoć się wkurzyła i rozesała pisma o zakazie transportu motorów.

Cóż...różne myśli przyszły do głowy. Wpadamy na pomysł, żeby zadzwonić do kogoś z Help Listy, i może niech "tubylec" coś załatwi. Dzwonimy, jeden cisza, drugi tel. wyłączony. W końcu dodzwaniamy się ( no właśnie, nie pamiętam jaką miał ksywę. Izi może pamięta). Mówi że za godzinę podjedzie.

Podjechała XJR-a, z 4 wielkimi głośnikami. Koleś oznajmia, że w Irkucku jest kilku Holendrów i Angoli na motocyklach. Też chcą ostać się do Moskwy. Więc może zrobimy transport wiązany. Poszedł się dowiedzieć. Koncepcje były różne, i zmieniały się do 2 min. Raz można, raz nie. W końcu, ktoś powiedział, żeby zgłosić się jutro rano, to coś podumamy. A on w między czasie uruchomi kilka kontaktów. Ogólnie też jest zdziwiony problemami z załatwieniem transportu.

Spadamy do Urzędu Celnego. Tam pani konsultantka, oznajmia, że można załatwić wriemiennyj wwoz, lecz nie u nich, tylko w innym urzędzie. Podała nam adres. Okazało się, że to drugi koniec miasta. No nic jedziemy. Mamy nadzieję że zdążymy, bo jeśli pracują do do 15 to może być dupa.

Wchodzimy do budynku, na korytarzu szpaler okienek dla interesantów, wszyscy w mundurach. Kartka, że praca trwa do 16. Zaczepiamy przemiłą, i przeuroczą panią celnik. Na dzień dobry chcemy się z nią najpierw umówić, ale nic nie wychodzi. Odsyła nas na koniec korytarza.

Tam tłum pracowników. Podchodzi jeden z nich i pyta o co biega. Mamy napisać podanie po rosyjsku, o przedłużenie papieru. Ale jak to ma wyglądać? Celnik ściąga ze ściany wzór i pyta cz znamy bukwy. Hmm, no trochę tak. To piszcie. Nie mieliśmy żadnego długopisu, więc wpadamy do pierwszych lepszych drzwi. Tam starsza pani, w pięknym biurze. Patrzy na nas jak na debili. Długopisów nie chce pożyczyć, ale w

końcu bierzemy ją na urok osobisty, obiecując solennie, że oddamy. Tak też zrobiliśmy.

Jakoś napisaliśmy. Wracamy do pomieszczenia na końcu korytarza. Tam, informują nas, że teraz owe podanie musi zarejestrować pani sekretarka naczelnika, a potem może naczelnik je podpisać. Niestety to trwa i możemy dziś nie zdążyć. Cóż... braliśmy to pod uwagę. Chcąc przyspieszyć procedurę, pytamy gdzie ta pani sekretarka urzęduje. Okazało się że to kobitka, od której pożyczyciśmy długopisy. Łeee, jak to ona, to damy radę. Tak też było. Gdy weszliśmy z papierami do jej biura, jej uśmiech na twarzy nie miał końca. Podpisała papiery od ręki, obiecując, że pogada z naczelnikiem co by podpisał jak najszybciej.

Po 10 min, zostajemy zaproszeni do naczelnika. Nie wiemy o co biega, może będzie się czepiał, albo co. Biuro gustowne, wielka flaga Rosji. Portrety Putina i Miedwiediewa, odznaczenia, dyplomy. Prosi, żebyśmy usiedli. No k...a, żeby nas nie pozamykali. Naczelnik czyta nasze podania, pytając czy to my je pisaliśmy. Studiuje je wnikliwie. Nagle pani sekretarka otwiera drzwi i wnosi...KAWĘ!! K.....a naczelnik zaprosił nas na kawę! Podpisał, odłożył. Przysiadł się do nas gaworzymy. Mówimy że spieszy się nam troszkę i czy była by możliwość, aby dokument załatwić jeszcze dziś. Uspokaja nas, mówiąc że najwyżej ktoś zostanie chwilę po pracy. Dopijamy kawkę, uścisk dłoni i wychodzimy. Wręcza kwity sekretarce, każąc aby je oddała jakiś pracownikom. Ta, wnosi je do okienka i każe celnikom jak najszybciej się nimi zająć. Ci znów proszą nas o podejście do okienka, po 15 min mieliśmy wszystko załatwione! A mówią, że w Rosji ciężko coś załatwić.

Po południu jedziemy do tego klubu o którym mówili nam Grecy, czyli Bajkonur. Klub w domu. Na dole wielki garaż z serwisem motocyklowym. Na górze knajpa z jedzeniem i piciem. Jeszcze wyżej pokoje gościnne, ciuchy motocyklowe do kupienia. Czad!

Stas, bo tak ma na imię szef, mówi że w sobotę będzie nie zła biba, i żebyśmy zostali. Będą panienki, balety i co kto lubi. Niestety, czas nie pozwalał.

Wracamy do Karima. Jutro rano znów dworzec i próba załadowania się na pociąg. Po drodze atak na sklep. Wódeczka, piwko. Niestety Karim nie pije, więc musimy wychlać to sami.

Ps.

Izi, Kamczacki świniaku, może coś byś napisał!! Co ja nie mam co robić?

Przypomniało mi się, jedna z prac Karima, która stoi na podwórku. Oryginał i wzornik jest wielkości 20 cm, natomiast to co widzicie 2 metrów.



## Dzień 35. Czwartek

O 8 byliśmy na dworcu kolejowym, gdzie czekamy na Monstera. Szybko przyjechał. Zasuwamy do biura gdzie od nowa bijemy pianę. Istne wariactwo. Raz już załatwione, raz znów nie. Powtórka z dnia wczorajszego. Kombinujemy, że skoro transport do Moskwy jest utrudniony, to możemy jechać w stronę Ukrainy.

Spędziliśmy na dworcu 4 godziny. Wersji było 30, każda inna, ale suma summarum, żadna nie pozwoliła nam załadować się na pociąg. Była jeszcze możliwość poczekania do jutra, wtedy znów bicie piany, ale zrezygnowaliśmy.

Podajemy decyzję, że nie ma co się pałować, tylko pakować rzeczy, wsiadać na dryndę i jechać. Czasu na powrót trochę mało, bo tylko 8 dni.

Wracamy do domu Karima, pakujemy rzeczy. Niestety Karima nie było, dzwoniemy więc do niego z informacją o naszej decyzji. Pozostało nam tylko pożegnanie przez telefon.

Gdy wyjechaliśmy od Karima była 13. Pół dnia mamy w plecy. Droga tylko asfaltowa, żadnym problemów, nuda mi marazm. Nocujemy na stacji benzynowej, oddalonej od federalki o 500 m.



Dziś krótko i zwięźle. Bo co tu pisać....



# Dzień 36.

Kupujemy rano od gościa ze stacji 2 litry oleju, co by mieć na smarowanie łańcucha. Niestety, te które mieliśmy z Polski, albo zostały zgubione, ale podziurawione przez przewracający się motocykl. Dzień jak co dzień. Po przejechaniu jakiś 300 km, oczy zaczynają się zamykać. Były dni, szczególnie dało to o sobie znać rano, że jechaliśmy z na wpół zamkniętymi oczami.

Senność przychodziła nagle. Często zjeżdżaliśmy na bok, żeby się zdrzemnąć choć by 15 min. Czasem, pamiętałem tylko jakiś szczegół z drogi, a potem nic, tylko prosta droga, żadnych urozmaiceń, krajobraz monotony. Jechałem, jechałem, żeby po chwili ocknąć się i zastanawiać się ile to już z mną kilometrów. W głowie czarna dziura, nie wiem co było przed chwilą, ile jeszcze do tankowania. Prędkościomierze już dawno popadały, bazujemy tylko na czasie który jedziemy.

Na stacji spotykamy dwóch starszych Niemców na BMW. Jadą do Mongolii. Spanie szykujemy ok. 100 km za Krasnojarskiem. Gdzieś na polanie, kilkaset metrów od głównej drogi.

# Dzień 37.

Znów dzień, który niesie nudę i marazm. Jedną z atrakcji jest 11 szt. Renault Trafic, które przemierzają świat dookoła.



Na niebie wiszą ciemne chmury, co rusz kropi, pada.



Był odcinek drogi, na którym nie wiadomo kiedy i dlaczego, tylne koło dostawało uślizgu. Asphalt, jak asphalt, jedziesz 120 km/h, nagle motocykl staje bokiem. Moja przednia opona już się kończy. Dziwne że żadna kostka nie odpadła. Gdy

wyjechaliśmy z Nowosybirska, wpadliśmy w mega ulewę. Łało, że widoczność spadła prawie do zera. Jechaliśmy z myślą, że gdzieś koniec tego deszczu jest. Był, po 30 min w tej ulewie, wyszło słońce, ruch zrobił się mniejszy. Wszystko mokre. Planujemy nocleg gdzieś w motelu, który znajdujemy 200 km za Nowosybirskiem.

Kiedy wypytujemy o cenę i itd. pod motel podjeżdża AT. To para Włochów. Gadka szmatka przy piwie, i spać.



# Dzień 38.

Byle nie padało, i motocykle nie nawaliły. Znowu jazda i jazda, usypianie i przebudzenie, droga monotonna. Od Komsomolska do Irkucka, krajobraz się zmieniał, teraz ciągle to samo, czyli nic. Śpimy w lasku brzozowym 20 km od Kurganu.



Takie zjazdy się pokonywało!!!

# Dzień 39.

Nie ma co pisać. Jedyna atrakcja, to wjazd do Tatarstanu, gdzie kupa słoneczników, i pomp tłoczących ropę.

Spanie, gdzieś by indziej niż w słonecznikach.

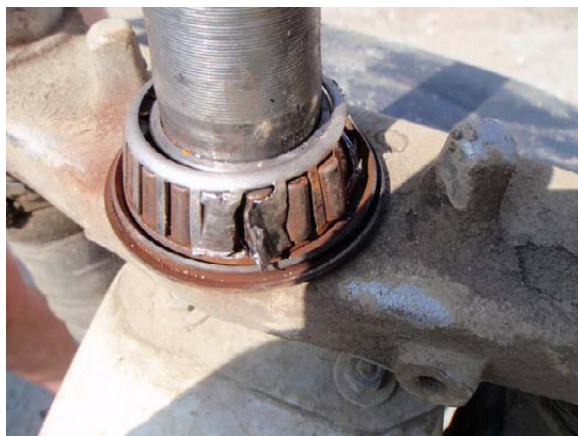


## Dzień 40.

Pogoda super. W ogóle deszcz nas opuścił. W południe, tradycyjnie zatrzymujemy się na tankowanie i wrzucenie coś ciepłego na ząb. Trafiliśmy w miejsce, gdzie po lewej stronie była stacja, a po prawej 2 motele, duży sklep, kolejna stacja i szynomontaż. Cały ten kompleks jak się później dowiedziałem, miał Rosjanin, który mieszkał 15 lat w Niemczech i podpatrzył jak wygląda zachodni standard. Wprowadził go u siebie i to bez dwóch zdań.

Parkujemy pod knajpą. Zatrzymując się, czuję jakby coś kierownicę blokowało. Ale zdaniem Iziego jak zwykle mi się wydawało. Pojadłwszy, popiwszy, zatankowani z pustymi pęcherzami moczowymi ruszamy dalej. Zawrócić, zawróciłem, ale już kierownicy wyprostować nie mogłem. Szukamy czegoś, co mogło ją zablokować. Może jakaś linka się zaplątała, może jakiś świstak się wkręcił, może....no właśnie, może żeby nie było to to o czym myślimy.... Było.

Pierdolnęło niestety łożysko główki ramy. Zapasu nie mieliśmy, przed wyjazdem były założone nowe. Jakoś ten element wydawał się nam zbędny w zapasowych szpejach. Zjechałem na stację będącą na przeciwko knajpy. Słońce przypiekało jak dzikie. Wszystko fajnie, ale żeby się dostać do łożyska, potrzeba klucza nasadowego. Takiego nie mieliśmy. Polazłem 5 m dalej, to stojącego Maza. Zagadałem kolesia czy nie ma. Zainteresowanie nami i naszą awarią, okazał okrutne, bo już szedł ze wszystkimi możliwymi kluczami.



I co można z tego zrobić 🗑️

Koleś ze stacji, koleś co nam klucze udostępnił kręcili głowami, mówiąc że takiego łożyska, to u nich nie będzie na 100%. Jest 5 km od nas mała wioska, jakiś sklep też jest, więc być może coś się dobierze. Jeśli nie, to 90 km od nas jest duże 100 tysięczne miasto, tam powinno coś być. Chłop z Maza, pomaga jak może. Pojedzie z Izim do pobliskiego miasta, żeby poszukać jakiegoś łożyska. Ja siedzę i czekam. Piję herbatkę i zajadam rogale maczane w miodzie.

Chłopaków nie ma godzinę, 2, 3, 4. Moje zajęcie, ogranicza się do szukania cienia, żeby mi łba słońce nie spaliło. Facet ze stacji mówi, że już dawno powinni wrócić. Być może pojechali do tego większego miasta. A tam na wjeździe jest kolejny punkt kontrolny milicji. Izi pojechał w samych spodniach, bez koszulki, dokumentów. Być może zatrzymali ich do kontroli, albo co? Nie było ich 5 godzinę. Jak nie wrócą przez 15 min, wrzucam rzeczy na stację, biorę Iziego dryndę i udaję się w poszukiwania. Tak też robię, gdy nagle jedzie Maz! Wyłażą chłopaki upierdoleni. Okazało się że Maz się rozkraczył. Naprawiali go 2,5 godziny.

Jakieś łożyska mają. Kupili w jakim sklepie, gdzie były ich tysiące. Wszystkie ponumerowane i zkatologowane. Wiadomo co do czego. Ale żadne nie pasowało. Oprócz jednego, leżącego gdzieś pod blatem. Jediną wiadomą rzeczą na temat owego łożyska, było to, że pochodzi od jakiegoś statku. Żeby nie było za łatwo, potrzebny było tokarz, który dotoczyłby tuleję dystansową. Znaleźli takiego. Cała operacja trochę trwała.

Bez rzeźby się nie obyło, ale wszystko pasowało.





Pewnie kiedy byliśmy na statku, sól swoje zrobiła. Górne łożysko było jak nowe, ale dolne? Sami widzicie.

Tak czy siak, pół dnia w plecy. Do knajpy podjechaliśmy o 12.30, a motocykl został złożony o 20.30. Nie było sensu jechać dalej, więc śpimy w motelu. Trzeba było się odwdzińczyć za pomoc. Chłop poświęcił pół dnia, na to żeby nam pomóc. Nie odpuszczał na krok, udzielał instrukcji jak wybić łożysko, jak założyć nowe, ile smaru napakować (jego zdanie ile wlezie) itd, itd. Chłopicho uczynne jak nie wiem co. Był o 5 km od kochanki, ale wolał pomóc nam, niż do niej jechać. Z tą kochanką też jaja były, ale nie ważne.

Tak czy srak zapraszamy go na obiad i piwo. Siedzimy i opowiadamy. Na początku piwa nie chciał, bo dziewczyna nie lubi jak jej chmielem chucha, ale się złamał i wypił 3. Nie wiemy jak się to skończyło.



# Dzień 41.

Wyspani, wykąpani, wyluzowani po wieczornych ekscesach w bani, ruszamy dalej. Tak po prawdzie nic się nie działo, no może po za tym, że w pewnym momencie zauważyłem że szyba w moim motocyklu dziwnie się pochyła. Niestety, urwało się (jak na razie) dolne mocowanie stelaża co trzyma całą czachę. Kilka ekspanderów załatwiło sprawę. Co mnie martwiło bardziej, to to że przy skręceniu kierownicą było słychać i czuć lekkie trzeszczenie w okolicach główki ramy 😊 Miałem nadzieję, że prowizorka wytrzyma. Dawła radę.

Niestety nie dało rady drugie mocowanie stelaża, też pękło.

W między czasie pomiędzy kolejnymi ulewami, wymieniamy u mnie przednią oponę. Jadąc w deszczu zero kontroli nad motocyklem. Przed spaniem robimy zakupy. Kupuję 3 wagony fajek w cenie 2 zł za paczkę. Jutro mamy zamiar przejechać przez granicę RUS - UA. Walimy się w krzakach przy drodze. Mamy nadzieję, że to ostatnia noc na ziemi rosyjskiej.

# Dzień 42.

Jak co rano, zanim wyjedziemy w plener, smarujemy łańcuchy. Izi ma centralkę, więc problemu nie ma. U mnie z kolei jest tylko boczna. Jako że codziennie rano motocykl całym swoim ciężarem opierał się na bocznej stopce, w końcu nastąpiło zmęczenie materiału. Izi trzymał przechylony na bok motocykl, a ja lałem olej z butelki na łańcuch. W pewnym momencie zmęczenie nie dało więcej rady i motocykl z całym dobytkiem zwałił się na mnie. Na początku myśleliśmy że się zapadł, ale gdzie tam.

Nie dość że czacha się telepie, to jeszcze motocykla nie ma jak stawiać po ludzku. Granicę po stronie rosyjskiej przekraczamy w 5 minut. Kiedy podjeżdżamy do ukraińskiej, opieram motocykl o czujnik (bo niby jak mam go postawić) co wykrywa materiały promieniotwórcze. Zaczęła się zadyma, że się połamie, włączy itd. Na domiar złego Izi przejechał przez podniesiony szlaban, mijając namalowaną linię z napisem STOP. Celnicy wyskoczyli i kazali się cofać.

Ni cholery, my jedziemy tylko do przodu. Zaczęli nas kontrolować. Wszystko było już prawie załatwione, a wiadomo, że prawie robi wielką różnicę, więc doszedł aspekt łapówki. Pierwszy raz na wyjeździe chciał gliniarz też na Ukrainie (skończyło się na tym że chciał nam dać na jedzenie), a drugi nastąpił teraz.

Jak to tłumaczyli nam celnicy:

- przekroczyliście miejsce gdzie należało się zatrzymać. To nic że nie było żadnego celnika, szlaban był podniesiony, ale tam jest namalowany znak STOP. Niestety, kamery was nagrały, jak złamaliście miejsce przymusowego zatrzymania i nada płacić!!!

Oczywiście był zajebisty problem z wykasowaniem nagrania 😊 Jakoś nie mieliśmy ani ochoty ani siły na miłe dyskusje, więc potraktowaliśmy ich inaczej.- ni ch...a! Zero, ani centa, rubla, złotych czy hrywny!! Nie damy nic!

Celnicy byli zdziwieni naszym zachowaniem. Po prostu atak! Zaczęli coś jeszcze gderać, naradzać się, wymachiwać łapami, ale kiedy nasza twarz z ich twarzą, nasz nos z ich nosem spotkał się w odległości 5 mm i kiedy z naszych ust jeszcze raz poleciała wiązka że nie i ch...j. To wymiękli.

Podsumowali nie udaną próbę zarobku tak:

- No, wy bracia Słowianie, ujeżdżajcie, da, ujeżdżajcie.

No to my pojechali.

Wpadamy na Ukrainie, na drogę którą już jechaliśmy w tamtą stronę. Czyli prosta, ze świeżym asfaltem i objazdami. Na pierwszym z nich stała milicja, czyli chcieli łapówkę. Po 20 USD od łba.

Objechaliśmy ich polem. Byli nie źle wk....ni na nas, kiedy zjechaliśmy obok ich radiowozu po skarpie na dół w pole, żeby wyjechać z tego pola 200 metrów dalej i jechać już asfaltem.

Było już czuć powiew Polski, przecież Ukraina to jak Polska. Świadomość że jesteśmy już w domu spowodowała, że złapali nas na radar. Milicjant tłumaczy że to "zielona zona", a my na to że nie wiemy co to jest. Pokazuje nam w kodeksie drogowym znak, wysłał mnie na koniec wioski, żeby zobaczyć jaki tam jest znak. Niestety, u nas w Polsce takich nie ma. A "zielona zona" kojarzy nam się z parkiem. Jedziemy dalej.

Teraz chyba Fuks się wk....i. Tym bardziej że pisząc ten tekst siedzę z nim na GG 😊  
Wjeżdżamy do, jak że by inaczej Fuks, Kijowa, tak Kijowa. Dzwoniliśmy do ciebie bucu, ale telefon wyłączyłeś. Wiedziałaś że jedziemy w twoją stronę!

Trafiliśmy spore korki, ruch okrutny a było już dobrze po południu. W tamtą stronę jak jechaliśmy, a było coś ok. 4 nad ranem, to jakoś pusto było. Przy wyjeździe z miasta, kupujemy po melonie, i arbuzie. Gnamy w stronę PL. Ale wiemy że nie damy rady. Zaraz za Kijowem zjeżdżamy w jakiś zagajnik, żeby głębnąć się spać. Ciemni już się zaczęło robić, więc nie szukamy intensywnie, tylko kładziemy się w pod pierwszymi lepszymi drzewami. Dobrze że były drzewa, bo chociaż motocykl można było o coś oprzeć.

# Dzień ostatni.

Kiedy rano się obudziliśmy, okazało się że spaliśmy na cmentarzu...

Wczesna pobudka bo coś ok. 6, dom blisko, flaszki z zakładów, które Bajrasz poczynił się studzą. Tęskno za polską wódką, kiełbasą, korkami na drodze i marketami, życzliwością kierowców.

Pierwszy postój ok. południa. Coś ciepłego na ruszt. Patrzymy na Iziego oponę. Widać płótno, więc zmieniamy. Za dobrze by było, gdyby Trelleborg Army wytrzymał całą trasę. Dziw nas bierze, że w ogóle tak doskonale dawały radę.



Kiepsko zaczęło się robić przed Lwowem, remonty dróg, ruch wahadłowy. Na granicy korki, więc przeciskamy się między autami. Ludzie patrzą na nas jak na ufoludków. Będąc kulturalnym, pytamy dwóch kolesi przed nami, którzy byli przewidziani do odprawy, czy możemy się że tak powiem wepchnąć. Problemów nie robią, tym bardziej że kiedy usłyszeli odpowiedź na swoje pytanie skąd wracamy. Nagle wyskakuje polska pani celnik, i drąc się w niebogłosy karze nam spadać na koniec kolejki. Jej wyklinania, były dla nas jak miód na serce. W końcu oprócz słuchania

języka polskiego z ust Iziego, posłuchaliśmy go z ust ładnej celniczki. Darła się, a my wpatrzeni w nią staliśmy nie ruchomo. Zapytała tylko dwóch ludków stojących przed nami, czy się zgadzają na to żebyśmy się wcisnęli bez kolejki. Pan celnik zapytał tylko czy nie szmuglujemy alkoholu i fajek. Oczywiście nie skłamałem i powiedziałem że w czeluściach kufra trzymam kilka wagonów nie ukraińskich lecz ruskich cygaretek. Poprosił, żebym tylko otwarł kufer, aby ludzie widzieli że nas też kontroluje, obiecując że nic nie będzie wyciągał. Tak też było. Za nami koleś na MZ ścigał dekiel przy silniku (nie wiem jak można tam coś szmuglować).

Po przekroczeniu granicy, wpadamy do knajpy. Zamawiamy po smażonej kielbasie i schabowym. Greton już nas sprawdza gdzie jesteśmy.

Droga do autostrady to tragedia. 130 km w dwie godziny. Przez tyle czasu u ruskich robiło się 200. Ale cóż, chciałeś do domu, to masz i przestań się dziwić.

Jest już ciemno, kiedy przejeżdżamy przez bramki w Katowicach. Światła świecą po czubkach drzew. Zjeżdżamy z autostrady w stronę Oławy, Izi leci do siebie, a ja profilaktycznie jeszcze tankuję. Pamiątkowa fota i się rozjeżdżamy. Wracam na autostradę i jadę przez Wrocław.

O 23 melduję się w domu. Izi potwierdza smsem, że też dojechał. Opieram motocykl o stos drewna, i wlokę się do domu.

Przejechaliśmy w tym dniu coś ok. 1200 km.

No i tak to jakoś było.

Wystąpili:



Scenariusz napisało życie.

Reżyseria wyszła w praniu.